

KON A SPRAWA POLSKA



czyli

rzecz o motoryzacji

Byłem w Mielcu, w Biurze Konstrukcji Przemysłu Motoryzacyjnego w Warszawie, w Rzeszowie, na Żeraniu i w Szczecinie. Wszystkie te punkty są jakby małymi warsztatami polskiej kuźni motoryzacyjnej. W każdej „pichci” się jakiś problem samochodowy, który ma podobno uszczęśliwić kraj i załatwić sprawę polskiego samochodu czy pojazdu mechanicznego.

Ludzie chcą jeździć, mieć własny samochód tak jakby za mało mieli kłopotów i zmartwień o codzienny chleb i dach nad głową.

Czego to dowodzi? Bezspornie jednego: że szybko załatwiliśmy problem emulowanego garnka, radioaparatu, czy nawet telewizora i wkraczamy w nowy etap — samochodu. Już dzisiaj patrzy się mniej podejrzliwie na pojazd mechaniczny, opatrzone literą „H”, jak to czyniło się lat kilka temu. Zresztą w tej chwili nie odróżni się tablicy wozu prywatnego od takśówki czy samochodu służbowego.

W ubiegłym roku krajowy „Motobyt” sprzedał prywatnym odbiorcom ponad 10 tys. wozów rodzimej i importowanej produkcji. PKO rejestruje niebawem stu tysięcznego posiadacza książeczki oszczędnościowej, premiowanej samochodami. A więc około 100 tysięcy ludzi ulokowało swoje oszczędności po 6 lub 9 tysięcy złotych w zamian za szansę wylosowania 1 wozu na 1.000 lub 1.500 książeczek.

Narodowa miłość do konia kawalerskiego przerosła się w miłość do konia mechanicznego. Dziś nasze oko cieszą koniki, zamknięte pod jakąkolwiek maską — byle by to była maska samochodu osobowego i własnego.

Znam dyrektora „Motobytu”, który rozkłada ręce i mówi: panie, co się dzieje!? Przyszły „Oktawie” (nowy model Skody) 95 tysięcy gotówka, kolejka w biurze sprzedaży jak za cy-

trynami w „Delikatesach”. W tym roku plan przewiduje sprzedaż około 15 tysięcy (mówię tylko o samochodach dla prywatnego użytkownika) wozów krajowych i zagranicznych...

Przepraszam, ale w tym miejscu muszę zmienić ton. Wszystko powyższe dotyczyło koniunktury, zapotrzebowania, którego może nam pozazdrościć każdy kapitalistyczny producent samochodowy. Gdyby Anglicy mieli tytuł potencjalnych klientów, nie musieliby ograniczać produkcji. A u nas proszę państwa jest inaczej. U nas jest Rada Motoryzacyjna, ciało złożone z dobrych i rozsądnych fachowców tej branży. Ciało to które ma rozwiązać problem polskiego samochodu — na razie w sposób fachowy i umiejętny zawiązuje go. Chwilami boje się, żeby z tego zawiązywania nie powstał węzeł gordyjski.

Pokazano mi we wspomnianym BKPM sterty planów, rysunków, projektów konstrukcyjnych nowych typów silników i karoserii samochodów osobowych. To wszystko robili płatni i etatowi konstruktorzy, którzy przez wiele lat zdobywali wiedzę techniczną w pol-

skich i zagranicznych uczelniach. Wszystkie te sztywne papiery leżą sobie spokojnie w stalowych szafach — jako akta tajne i poufne — chociaż na szerokim świecie myśl konstruktorska hula swobodnie, i trwa wyścig, kto zrobi lepszy, tańszy i nowocześniejszy pojazd na codzienny użytek. My mamy Radę Motoryzacyjną i stąd wynika pewność, że w prawniczej przyszłości będziemy mieli też samochód. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie mam zamiaru uwłaczać składowi Rady Motoryzacyjnej. Jeszcze raz podkreślam: jest to zespół specjalistów o wybitnych kwalifikacjach. Brak w nim jednakże jasno sprecyzowanej myśli działania i busoli wskazującej wyjście z gąszcza problemów motoryzacyjnych.

A może na drodze rozwoju motoryzacji stoją jakieś niepokonywalne, obiektywne trudności materiałowe, maszynowe albo inne?

Można by tak sądzić, gdyby nie fakt, że przecież zaplanowaliśmy na rok 1965 aż 1 milion motocykli. Tyle

Dokończenie
na str.
6

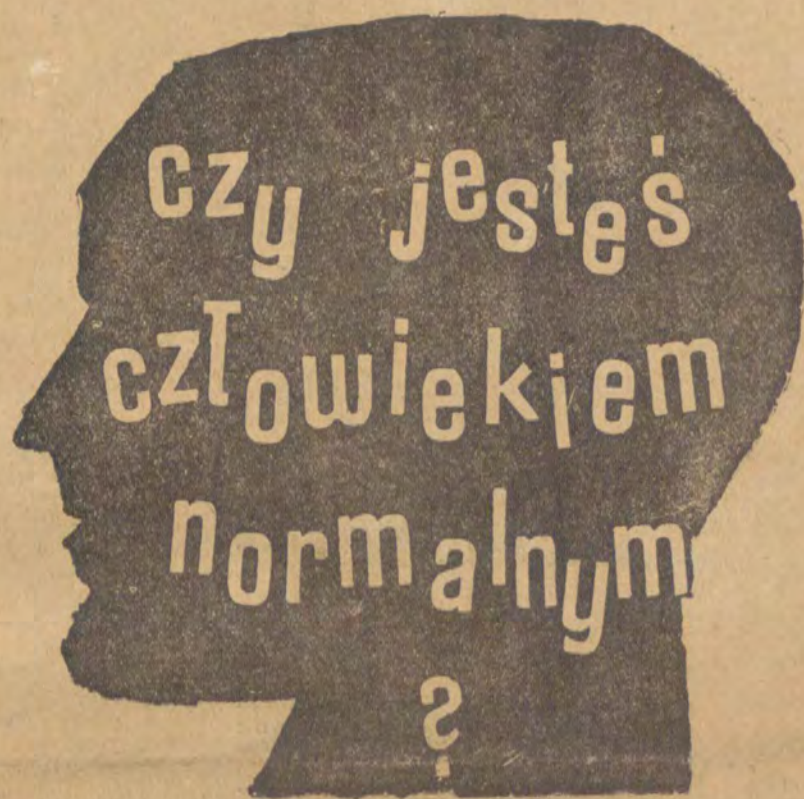
Rok II
Łódź 5 lipca
1959 roku

NR 27 (71)
CENA 1 ZŁ

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Czy kładąc się spać ulegasz dręczącej myśli, że nie wyłączyłeś gazu, chociaż wiesz na pewno, że czynność tę wykonałeś? Czy myśl ta dręczy Cię do tego stopnia, że wstajesz z łóżka i sprawdzasz, aby stwierdzić to, o czym i tak byłeś przekonany: gaz był wyłączony? Czy owo stwierdzenie przyniosło Ci uczucie ulgi, uspokojenia, przyjemności?



ANDRZEJ MAZUR

Fatalna predestynacja * Czy wszyscy ludzie są nienormalni * Wyznanie autora * Myśli natrętne * Nie każdy „zerwieniaczy się” kłamie * Inteligencja i neurastenia * Ludzie, których spotykamy codziennie.

OSTRZEŻENIE
OSTRZEGA SIĘ P.T. CZYTELNIKÓW, ŻE TO NIE JEST „PRZEKROJOWA PSYCHOZABAWA”. KTO WIĘC NIE MA ABSOLUTNEGO PRZEKONANIA, ŻE JEST CZŁOWIEKIEM NORMALNYM — NIECH LEPIJ NIE CZYTA.

Wybitny psychiatra niemiecki Kretschmer podzielił choroby umysłowe na schizofrenię i cyklofrenię. Wszystko byłoby w porządku i cała sprawa miałaby wyłącznie charakter specjalistyczny w medycznej wiedzy, gdyby nie to, że Kretschmer podzielił swój rozdział na wszystkich ludzi. Tych oczywiście jeszcze normalnych — którym grozi (ewentualnie, ewentualnie!) schizofrenia — nazwał schizotypikami. Zagrożonych cyklofrenią (również; chwala Bogu, ewentualnie) cyklotymikami.

Jesteś więc Czytelniku, według Kretschmera, schizotypikiem lub cyklotymikiem. A wszyscy razem w ten sposób zostaliśmy predestynowani. Fatalnie predestynowani...

Psychiatria jest nauką

mlodą i niewiele czasu upłynęło od chwili gdy pojacie „opętania złym duchem” raz na zawsze i ostatecznie zniknęło z diagnostycznych podręczników „uczonych w medycynie”. Jak każda młoda nauka — i psychiatria nie oparła się pokusom swych krótkich doświadczeń i szufladkowania zjawisk. Zanim rzetelna, żmudna, wieloletnia praca badaczy nie skomplikowała pozornie prostego obrazu człowieka, namnożyło się mnóstwo różnych typologii, w których uczeni widzieli ludzi częściej takimi, jakimi chcieli ich widzieć, niż jakimi są w istocie. W wielu dla działań szkolnej przeznaczonych podręcznikach propedeutyki filozofii spotykamy dziś jeszcze podział ludzi na sangwiników, choleryków, flegmatyków i melancholi-

ków mający swój rodowód w prostej linii od Hipokratesa.

Z czasem wytworzył się pogląd, że każdy człowiek jest w jakiś sposób nienormalny. Ze ludzi normalnych albo nie ma w ogóle, albo — jeśli by się zupełnie przypadkiem tacy znaleźli — to jako twory śmiertelnie nudne, nie przystosowane do współżycia z innymi ludźmi. To zapewne w trybie ogólnej pociechy i samouspokojenia.

W rzeczy samej są ludzie normalni i (niestety) nienormalni i tych pierwszych — chociaż szeregi ich wciąż szcupleją — jest jeszcze (na szczęście!) więcej. Oprócz kretschmerowskiej schizofrenii i cyklofrenii długie lata badań psychiatrycznych

Dalszy ciąg
na str.
2

— oto początek tekstu p.t.

„We wnętrzu atomowego wulkanu”

czytaj na stronie 5

BYŁO TO PIERWSZE TRZESIENIE ZIEMI WYWOŁANE LUDZKĄ REKĄ W CIĄGU MILIONOWEJ CZĘŚCI SEKUNDY CZŁOWIEK SIEDZĄCY PRZY APARACIE NIĘ WIĘKSZYM OD „SZAROTKI” PRZEKSZTAŁCIŁ 400.000 TON SKAL W POPIÓŁ...

TARA-BAM, tara-bam...

Bóg nam powierzył honor Polaków i jak rzadko kiedy wypełniamy Jego przykazania. Mimo, że od ostatniego honorowego pojedynku o honorową hrabiankę, stoczonego przez honorowych studentów minął już dziesięć lat, a i w ogóle coś nie bardzo to była prawda — sprawy honoru spędzają nam sen z powiek.

Zaczniemy od historii. Z pielegnowaniem honoru jest jak ze zmienianiem kobiet — rzecz wymaga nadmiaru wolnego czasu. Dlatego też w zamierzalnej przeszłości honor był artykułem luksusowym na użytek klas posiadających, które mając do wykonywania jeden jedyny tylko honorowy zawód — wojenkę, w przydługich antrakcie zajmowały się sprawami honorowymi.

Upodobanie do odziedziczenia kasty oficerskiej 1918—1939, co znalazło odbicie w satyrycznej literaturze dwudziestolecia i kpiarskich dziełach powojennych — od Żukrowskiego i Zielińskiego — po „Eroice” Munka.

W czasach ostatnich honor egzystował jako żelazny numer wszystkich kabaretów.

Sprawy honorowe odżyły dziś znowu na łamach prasy wojkowej, która opublikowała listy postulujące opracowanie „kodeksu honorowego oficera WP”.

Oczywiście ma to być honor i kodeks współczesny, z odpowiednimi, aktualnymi paragrafami, zawierającymi wskazówki, co oficer ma czynić w obliczu chuliganów, wskazaniemi na temat nie rzucania papierków, gdzie nie trzeba i ustępowania miejsca w tramwaju kobietom ciężarnym i beznożym w szczególności.

Honor i kodeks honorowy — zabrzmiąło to tak komicznie, że Polskie Radio w specjalnym felietonie dało wyraz swemu negatywnemu stosunkowi do tej imprezy. Wszakże ta propozycja potraktowała nasze radio ze śmiertelną powagą, zgłaszając zastrzeżenia pryncypialnej natury. Że wojsko z ludem, a lud z wojskiem — to skąd takie feudalne miazmaty. Że honor przesłał być monopolem oficerskim, jak i zawód oficerski najhonorowszym z honorowych zawodów. Że nie moż-

na reaktywować elementów, które w przeszłości tworzyły kastowość kadry oficerskiej. Z drugiej jednak strony honor, to rzecz pożyteczna, szczególnie w partiach antychuligańskich.

Postuluje tedy radio, żeby honor i jego kodeks umasowić. Kodeks oficerski — dobrze. Ale wobec tego również kodeks honorowy i górników, i hutników, kolejarzy, tramwajarzy tara bam, tara bam...

Zapowiada się więc istna powódź honoru.

Smutne byłoby to wszystko, gdyby nie było także wesołe. A tak już bywa, że jak coś jest wesołe nie jest zarazem nazbyt smutne.

Belfer niniejszym oświadcza, biorąc za świadków czytelników „Odgłosów”, że jest przeciwno chuliganom, przeciwko rzucaniu papierków, gdzie nie ich miejsce, przeciwko zajmowaniu w tramwaju pozycji stojącej przez kobiety itd. Natomiast Belfer uważa, że do wprowadzenia dekalogu prymitywnych przepisów traktujących o samoobronie społecznej przed chuliganami, przepisów higienicznych, grzecznościowych, towarzyskich i innych nie jest potrzebne używanie detolozicznego i irracjonalnego pojęcia „honor”. Jako też wyprowadzanie profesjonalnych podziałów oficer a chuligan, górnik a chuligan, hutnik a chuligan, w odróżnieniu od „zdun a chuligan”, bo zdunskiego kodeksu honorowego jakoś nikt nie proponuje.

Cała honorowa sprawa jest jednym z wielu przykładów istnienia u nas manii propagowania prostych i oczywistych nakazów i zakazów społecznych, przy posługiwaniu się wielkodźwięnymi a irracjonalnymi argumentami, stanowiącymi ideologiczną zakazów tych i nakazów podbudowę.

I tak mówi się: „Nie kradnij, jeśli kochasz ojczyznę”, zamiast nie kradnij, bo i twoja własność przy rozwiniętym systemie kradzieży będzie zagrożona.

Powiada się ustap miejsca beznożemu jeśliś honorowy, zamiast podnieść d... z ławki, jak stoł beznogi, bo jemu trudniej stać, a obowiązując cię troska o wygodę bliźniego twego, dzięki której to rozwiniętej społecznej zasadzie i twoje ży-

Mam znajomego z katedry tych, co to z wiosny na jesień odkładają termin rozpoczęcia III wojny światowej. I co mówią np. „ale im Eisenhower dzisiaj do słuchu powiedział”. Ow znajomy znajduje szczególną przyjemność w dreczeniu mnie rozmowami o polityce poza godzinami służbowymi. Przed kilkoma dniami zobaczyłem go na Piotrkowskiej. Szedłem po drugiej stronie, ale on mnie, niestety, dostrzegł.

— No, i co — rzekł z triumfem — nie mówili że nie z tego nie wyjdzie? Pan zobaczy, co będzie na jesieni. Nie dałem się spręwokować do dyskusji, ale wydaje mi się, że korzystając z przerwy w genewskich obradach warto podyskutować nad tym, czy wyszło czy nie wyszło coś z genewskich obrad.

Moim zdaniem, coś wyszło. Niewiele wszakże, mniej niż się spodziewali optymiści, ale niewątpliwie więcej niż sądzą zawodowi malkontenci i czarnowidzowie.

Wydało mi się, że podstawowym sukcesem Genewy było to, iż potoczyły się tam prawdziwe rokowania, prawdziwe rozmowy dyplomatyczne między Wschodem i Zachodem, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu.

Wspomnijmy konferencję genewską z roku 1955. Głównym rzecznikiem Zachodu był John Foster Dulles, rzecznikiem Wschodu był Władimir Molotow. W październiku 1955 r. w Genewie nie było rokowań, nie było prawdziwych rozmów dyplomatycznych. Dulles wysunął pięć propozycji absolutnie nie do przyjęcia dla Związku Radzieckiego. Molotow wysunął również 5 propozycji, na które Za-

chód nie chciał się zgodzić. I koniec. Zimny uścisk dłoni w klimacie klasycznej zimnej wojny i rozmowy między Wschodem i Zachodem zostały przerwane na 4 lata.

W Genewie roku 1959 mieliśmy już prawdziwe rozmowy. Dwa tygodnie toczyła się generalna debata nad radzieckimi propozycjami traktatu pokojowego z dwoma państwami niemieckimi i nad całością zachodniego „pakietu” propozycji.

JÓZEF LEBENBAUM

Rozważania na przerwie (genewskiej)

Generalna dyskusja nie doprowadziła do skutku. Zachód opiera swe rachuby w sprawie zjednoczenia Niemiec na złudnej nadziei, że pewnego dnia Związek Radziecki w drodze przetargu „zrezygnuje z NRD”. A tymczasem cała polityka Związku Radzieckiego nacelowana jest na umocnienie NRD, na utrwalenie socjalistycznego państwa niemieckiego. Jeden konsekwentny ciąg od not berlińskich poprzez propozycje zmierzające do podpisania traktatu pokojowego z dwoma państwami niemieckimi aż do samej Genewy, gdzie zasiada delegacja Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Drugi cel polityki radzieckiej w Niemczech to niedopuszczenie do atomowej militaryzacji Niemieckiej Republiki Federalnej. A Zachód? Zachód ma do wyboru albo Niemiecką Republikę Federalną z całą jej

potęgą ekonomiczną i militarną w pakcie atlantyckim albo zjednoczone Niemcy pokojowe i demokratyczne poza paktem. Niestety Zachód zawsze wybierze NRF w pakcie atlantyckim.

Ktoś powiedział, że ze zjednoczeniem Niemiec jest tak jak z modlitwą. Wszyscy się modlą żeby iść do nieba, byle tylko nie za prędko. I w tej sytuacji generalna dyskusja w sprawie generalnego rozwiązania problemu niemieckiego musiała się zakończyć niczym. To było swoiste przedstawienie w teatrze narodów.

Z problemu niemieckiego można i trzeba wyluskać to sprawy, które grożą konfliktem, które są najbardziej zapalne. Do nich należy przede wszystkim Berlin. Nad tym problemem dyskusja toczyła się 5 tygodni.

NRD zajęła w Genewie równą pozycję z Niemiecką Republiką Federalną. Stolik NRD nie był mniejszy od stolika NRF, a fotele nie były gorszego gatunku. Zachód może nie uznawać NRD, gdyż z tym uznaniem różnie bywa. USA nie uznaje Chin Ludowych, Niemiecka Republika Federalna nie uznaje Polski, ale w Genewie NRD wystąpiła z głosem doradcy, któremu Zachód musi się przysłuchiwać i z którym musi się liczyć. Choćby ze zgrzytaniem zębów, ale musi.

A teraz Berlin. Porozumie-

niew sprawie Berlina nie zostało podpisane. Ale wbrew pozorom stanowiska obu stron bardzo się zbliżyły. Pozwól sobie zacytować fragment korespondencji agencji France Press:

„Projekt radziecki, projekt zachodni w trzech punktach dotyczących Berlina zbliżyły się na tyle, że nie istnieje już trudność osiągnięcia porozumienia. Chodzi tu o: redukcję garnizonów zachodnich, zaopatrzenie tych garnizonów wyłącznie w broń klasyczną, zlikwidowanie działalności organizacji dywersyjnych i propagandy dywersyjnej”. Korespondent „France Press” niewątpliwie trafił w sedno sprawy. Istnieje w tej chwili możliwość osiągnięcia porozumienia, ograniczonego i tymczasowego porozumienia w sprawie Berlina. Porozumienia, które otworzyłyby zielone światło dla konferencji na szczycie. W Genewie toczyły się prawdziwe rokowania, przerwa w genewskiej konferencji nie została wykorzystana do wzajemnych ataków i oskarżeń. Prasa radziecka stale wyraża nadzieję na sukces genewskiej konferencji. W czasie genewskiej przerwy będzie kontynuowany dwustronny dialog amerykańsko-radziecki. 29 czerwca przybył do Nowego Jorku wicepremier Związku Radzieckiego Kozłow. Przeprowadził on rozmowy z prezydentem Eisenhowerem wiceprezydentem Nixonem i sekretarzem stanu Herterem. W drugiej połowie lipca przybędzie do Moskwy wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Nixon. Drzwi nie zostały więc zażalążone ani w Genewie ani poza Genewą. I dlatego mimo pozorów jestem zdania, że „coś z tego wyszło”.

ciowe wygody będą przez innych respektowane.

Jednym słowem nie tłumaczy się reguł postępowania wobec innych ludzi i wobec ogółu ludzi, prostymi względami respektowania zasad współżycia społecznego, lecz pojęciami wzniosłymi, bądź zgola dumnymi. Nikt bowiem nie potrafi powiedzieć, co to znaczy „honor”. Pokusił się o to tylko pewien pan, twórca „kodeksu honorowego, obowiązującego przed kilkudziesięciu laty, ale miał wodę w głowie.

Honor, jako bodziec inspirujący trafił pod strzechy. W „Ilustrowanym Kurierze Polskim”, ukazującym się w Bydgoszczy, znalazło się takie ogłoszenie:

„Ostrzeżenie. Ponieważ wielokrotnie ostrzeżenia w domu nie odnoszą skutku, zmuszony jestem ostrzec publicznie moją żonę Irenę

Golebiowską, zam. w Inowrocławiu przed dalszym szkalowaniem opinii i urządzaniem publicznych i gorszących awantur mnie i innym osobom na terenie Inowrocławia oraz przed zmuszaniem mojej 9-letniej córki Marii Ewy do brania w tym udziału. W moim imieniu przepraszam wszystkie osoby, które kiedykolwiek doznały z tego tytułu przykrości. Równocześnie przypominam, że do załatwiania pretensji i sporów małżeńskich, trwających już od 12 lat stoł otworzę zgodnie z kodeksem radziennym drogą sądową. Jerzy Golebiowski”.

Oto widzimy, jak małżeńskiej reprimendy udziela się w prasie, nie szczędząc grubych banknotów na opłacenie kosztów ogłoszenia, wszystko dla reperowania „nadszarpniętego” przez skuteczną „honoru”.

Obyczaj „ratowania honoru” poprzez prasowy anonim natychmiast się rozpowszechnił. W „IKP” znów czytamy:

„Do obelgi rzuconej w dniu 9 maja na Ezop Bronisław, zamiesz. w Glińcu nie poczuwam się. Natomiast oszczerstwa wypowiadane przez wyż. wym. osobę do obcych osób na swego syna, a mego męża polegają na fałszywych (świadkowie). Ezop Józefa, zamieszkała w Glińcu”.

Domowe awanturki z teściową weszły na honorową drogę. Malucsko, a każda pyskówka nabierze walorów honorowej rozprawy. W demokratycznych czasach honor najwidoczniej zdemokratyzował.

Jeśli ktoś z Was ma smykalkę do interesów, Belfer chętnie i bezinteresownie udzieli dobrej rady: jak najszybciej otworzyć wypoży-

czalnie szpad, pistoletów, sekundantów, cylindrów i czarnych peleryn. Powodzenie murowane. Społeczna służba zdrowia zapewni bezpłatną opiekę konwalską. Władze municypalne udzieli koncesji z pełną honoru radością.

BELFER



Czy jesteś człowiekiem normalnym?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

dokończył blisko setkę różnych innych odkształceń od człowieczej normy i wszystko wskazuje, że lista wcale nie jest zamknięta. Możemy się więc pocieszyć, że nasza predestynacja nie ogranicza się do kreischmerowskiej alternatywy. Możliwości są bogatsze i rozleglejsze. Są wśród nich objawy ciężkich, często nieodwracalnych obłądów, eliminujących możliwości życia w społeczeństwie. Są

objawy pozornie nieszkodliwe, pozornie utrzymujące się w normie, a jednak posiadające psychiatryczną kwalifikację i to aż z dwóch powodów: primo — ze względu na współną przyczynę — schorzenie układu nerwowego; secundo — ze względu na możliwość pogarszania się stanu i przy nieleczeniu przejście w stan chroniczny o ostrzejszych objawach i beznaściejnym, lub bardzo wątpliwym rokowaniu. Te właśnie — pozornie normalne — stany, będą przedmiotem niniejszego artykułu.

Wszystko co wyżej i co

niżej zostanie powiedziane, gwoi uczelności i powagi sprawy wymaga wyznania autora. Wyznanie nie w sensie deklaracji, czy autor sam siebie uważa za człowieka normalnego, czy też nie, ale po co z tym zagadnieniem wychodzi.

Przez szpalty gazet przebiegały się wstydlivé skromne notatki o wolią rosnących potrzebach lecznictwa psychiatrycznego. Z niejaka satysfakcją pisało się kilka lat temu, że na 10 obywateli U.S.A. przypada 1 umysłowo chory, nie dostrzegając wówczas, że jest to wyraz niepokojącej prawidłowości współczesnej cywilizacji. Życie psychiczne człowieka wyszło poza sferę czarnej magii i choć nadal jest przedmiotem uprzejmych zmagów naukowego poznania z niewiedzą, jedno dziś jest niewątpliwie pewne: każda choroba umysłowa ma swoją o-

kreśloną przyczynę i każda polega na zakłóceniu normalnego funkcjonowania systemu nerwowego.

W stosunku do innych schorzeń, choroby umysłowe przez to są najbardziej niebezpieczne, że atakują mózg — organ rozkazodawczy, atakują również to, co stanowi o istocie człowieczeństwa. I dlatego powinny stanąć w leczeniu na pierwszym miejscu. Dlatego powinien stanąć przeciw nim powszechny system higieny psychicznej na co dzień — tak jak mycie rąk przed jedzeniem, leczenie zębów, prześwietlenie i szczepienia ochronne. I dlatego jest jeszcze pilna i ważna potrzeba zmiany powszechnie praktykowanego stosunku do ludzi chorych umysłowo. W miejsce kpin, fluturnych kółek na czole lub wręcz wrogiej postawy — wyrozumiałość i troska. Jeśli nie z idei humanitar-

nej, to bodaj na prawach wzajemności.

...

Czy kładąc się spać ulegasz dreczącej myśli, że nie wyłączyłeś gazu, chociaż wiesz na pewno, że czynność tę wykonałeś? Czy myślisz ta dręczą Cię do tego stopnia, że wstajesz z łóżka i sprawdzasz, aby stwierdzić to, o czym i tak byłeś przekonany: gaz był wyłączony? Czy owo stwierdzenie przyniosło Ci ukojenie, przyjemność?

Jeśli tak, nie jesteś człowiekiem normalnym. Jesteś dotknięty natręctwami myślowymi i Twoja dolegliwość posiada określony termin w psychiatrii: psychoneurosis obsessiva i może być — choć nie musi — zwiastunem poważniejszej choroby umysłowej. Natręctwa myślowe nie są

oczywiście związane tylko z gazem świetlnym. Może to być na przykład obawa przed kradzieżą i stąd niepokój, czy zamknięte są drzwi od mieszkania. Zaryzykujesz wówczas spóźnienie na pociąg, aby wrócić z przystanku tramwajowego i pod drzwiami stwierdzić, że były dokładnie zamknięte, o czym zresztą z góry byłeś przekonany. A jeśli myślisz natrętnie objawiają się u Ciebie jako obawa przed zakażeniem, będziesz godzinami mył ręce i odmówisz przyjęcia — najhigieniczniej przyrządzonego posiłku, jeśli wyobraźnia podsunie Ci myśl, że może być on źródłem choroby.

Natręctwa myślowe mogą



Ziemia pali się najdłużej...

Ranek, piękny, czerwcowy niedzielny wyskakujemy ze Szczecina szosa w kierunku na Trzebież. Niebo bez jednej chmurki, ale po kilku kilometrach nad zachodnim skłótem horyzontu dostrzegamy ciężki osad. Tak, to już widać dymy. Podmuchy wiatru zaczynają przywiewać swąd spalenizny.

„Uwaga słuchacze! Niebezpieczeństwo pożarów lasów ciągle wzrasta. W rejonie największego zagrożenia znajdują się tereny...” Pulsujący nieco sztuczna trwoga głos spikerki, powtarzającej codziennie oklepny tekst ostrzeżenia, zaczyna teraz brzmieć groźnie.

Na leśnej drodze pierwszy posterunek kontrolny. Stąd już tylko kawałek i „Warszawa” zatrzymuje się na szerokim dukuie leśnym w sercu pożaru. Jeszcze przed czterema dniami po obu stro-

Tekst i zdjęcia: Julian Brysz



nach duktu rósł zielony zagajnik, dziś przez kilkunastorową pustą przestrzeń rozciąga się wokół widok na płonący wysokopienny las. Zagajnik przestał istnieć. Na krańcach wypalonej polaci snują się jeszcze dymy.

Wyskakuję z drogi na porzeczko, szukając dogodnej pozycji do zdjęcia. Nożi grzęzną natychmiast, ale jakoś inaczej, niż w piachu. Zapadam się w kilkucetymetrową warstwę gorącego popiołu. „Ziemia pali się najdłużej” — tłumaczy towarzyszący nam leśniczy.

Wiatr nagle zmienia się i oddalona o parę metrów „Warszawa” ginie na moment z oczu, przysłonięta kłębią dymu. Nie można określić pogody. Zapomina się, że jest upalne czerwcowe popołudnie. Tylko gorąco, niesłychanie gorąco, choć w najbliższym promieniu nie ma płonących drzew. Ziemia pali się najdłużej...

Wczoraj „Kurier Szczeciński” donosił: „Pożar lasu ugaszono”. Jechałem tam z myślą obejrzenia dopalających się zgliszcz. Okazało się, że pomylono dwa terminy: ugaszenie i lokalizację. W sobotę pożar zlokalizowano na 600 ha lasu. Dalej się nie roz- (Dokończenie na str. 7)



Sławni cyklotymicy na tle sylwetki pyknika

1. Pasteur. 2. Danton. 3. Zola. 4. Dostojewski. 5. Luther. 6. Dickens. 7. Balzac. 8. Fielding. 9. Darwin. 10. Shakespeare. 11. Tołstoj.

objawiać się na tle religijnym. Będziesz wówczas z przesadną skrupulatnością przestrzegał praktyk religijnych, dręcząc się cały czas myślą, że mogą się one okazać niewystarczające wobec Bożych wymagań. W kościele będzie Cię natrętnie przesładować myśl o bluźnierstwie, zwątpieniu, czy seksualnym pożądaniu osób otoczonych czcią.

Natręctwem myślowym jest również uzależnienie życiowego powodzenia od różnych magicznych czynności i zjawisk. Znajdzie tu swoje miejsce wiara w fe-

ralną trzynastkę, nie witanie się przez próg, znaczenie maskotek, pajaków, kominiarzy i czarnego kota przebiegającego drogę. Między dość powszechnym nawykowym i humorystycznym traktowaniem tych spraw, a ich chorobliwym objawem różnica polega na tym, że chorzy rzeczywiście przywiązują do nich dużą wagę, zdając sobie równocześnie sprawę z całej absurdalności takiej postawy.

Nerwice lekowe mają swój obszerny rozdział w



psychiatrii. W ogromnej większości są łatwo uleczalne i nie groźne. Przy zaniedbaniu mogą jednak prowadzić do powikłań i trudności życiowych zwłaszcza w aspekcie towarzyskim i szczególnie wtedy, gdy osiągną zaawansowaną formę. Leku przed wystąpieniem. Taka dolegliwość stanowi wówczas ciągłe strapienie, zmusza do nieustannej koncentracji uwagi na przedmiocie leku, co w konsekwencji zamyka błędne koło.

Można tu na przykład wymienić lek przed czerwienieniem się. Czerwienienie się przyjęto uważać, jako wyraz mimowolnego protestu przeciw własnym słowom, głoś sumienia wobec popełnionego kłamstwa, czy wręcz przyjęcie do siebie jakiejś aluzji, podejrzenia bez adresu. Nie wiadomo dokładnie jak jest mechanizm czerwienienia się. Wiadomo natomiast, że w nerwicy lekowej nie ma on nic z głosem sumienia wspólnego. Chory będzie się czerwienił przy każdej teoretycznie możliwej kontrowersyjności swoich stwierdzeń — nawet jeśli będzie mówił najczystsza, absolutnie sprawdzalną prawdę. Czerwienieniem się gotów jest skierować na siebie każde podejrzenie, nawet jeśli popełnienie przezeń czynu domniemanego było absolutnie niemożliwe, ponieważ znajdował się w tym czasie na innej półkuli. I nie jest w tym istotne, że się czerwieni, bo czerwieni się większość normalnych ludzi w przeróżnych okolicznościach. Istotny jest ustawiczny, przesładowczy lek, aby się nie zaczerwienić.

Podobnie ma się rzecz z lękiem przed zmoczeniem się w towarzystwie. Nawet przy opróżnionym pęcherzu będzie występowała wówczas

bezsztanna potrzeba oddania moczu i trapiący lek, aby to nie stało się, na przykład, w czasie tańca. Identyfikacja z poceniem rąk, zwłaszcza u mężczyzn przeświadczonych, że spocona dłoń budzi trwałą wstręt u kobiety.

Cała zaś gamę nerwic lekowych kryją intymne zakłamanie życia płciowego. Do nich wrócimy w dalszych artykułach tego cyklu.

Neurastenia — pojęcie dość często nadużywane — jest terminem określonego schorzenia umysłowego. Obejmując dużą rozpiętość objawów psychicznych, spróbowaliśmy, generalnie biorąc, do nieustannego, wyolbrzymionego napięcia uczuć i konfliktów. Przyczyny bywają różne: nadmierne przemęczenie, brak ustabilizowanego trybu życia, złe układające się stosunki z otoczeniem, zwłaszcza w miejscu pracy, świadomość bezsilności wobec twardego losu udaremniającego realizację ambitnych zamierzeń życiowych.

Neurastenik trwa w stanie ciągłej gotowości do konfliktu. Łatwo wybucha i wszczynają awantury. Wyolbrzymia doznane krzywdy imputuje ludziom zamiary obce ich intencjom. Łatwo ulega dręczącym wyrzutom sumienia. Popada w skrajność uczuć — od złości do serdecznego płaczu.

Ten stan psychiczny zaczyna trwale oddziaływać na zdrowie ogólne. Pojawia się bezsenność. Neurastenik spędza noc na dysputach z samym sobą. Drobiazgowo rozważa przeżyte w ciągu dnia konflikty i układa skomplikowane plany odwetowe, z których najczęściej nie wychodzi, ponieważ nowy dzień stwarza nowe sytuacje. Przy łada zdenerwowaniu



Sławni schizotypicy na tle sylwetki astenika

1. Robespierre. 2. Newton. 3. Kant. 4. Calvin. 5. Racine. 6. Milton. 7. Schiller. 8. Spencer. 9. Hegel. 10. Shelley.

odczuwa zaburzenia w trawieniu. Nierzadko popada w owróżdzenie żołądka i kamicy żółciowej, chociaż te choroby w zasadzie nie wspólnego z neurastenią nie mają.

Neurastenia jest chorobą cywilizacji, nieodłącznie związana z wyścigiem i konkurencją ambicji życiowych. Zwana jest również chorobą „inteligencji i postępu technicznego”. Zaniedbana prowadzi na ogół do ciężkich i przewlekłych schorzeń umysłowych. Nie brak takich przypadków w szpitalach psychiatrycznych.

Ludzie tak lub podobnie cierpiących spotkamy codziennie. Uważamy ich za normalnych i oni siebie za normalnych uważają. A jednak są chorzy. Umysłowo chorzy. Wymagają leczenia i pomocy. Potrzebna im jest wyrozumiałość i troska. Póki czas bowiem mogą być wyleczeni całkowicie i może być uratowane ich człowieczeństwo. Tak jak wczesne rozpoznanie raka może ocalić życie.

Andrzej Mazur



O dancinгах i pracy od podstaw (II)

ANDRZEJ BRYCHT

„SEZAM“ i zamierzenia

Zdjęcia: G. PUCIATO

NIE JEST ZŁE w zakłóceń głośnie. Przede wszystkim ucieszył mnie piękny lokal klubu. Ciekawa plakorczyba nad wejściem, gołębiowe stylizacje „pod Picasso” na suficie. Mile, w ciepłych kolorach. Sala spora, na około 150 osób. Ze sceny dobiegają dźwięki perkusji i fortepianu. To muzyka z teatru „Siódma piętnaście” akompaniują produkcjom zespołu artystycznego. Zespół ten, to nie skonstruowany sztucznie twór, jakich wiele po świetlicach. Powstał samorzutnie, z inicjatywy samych jego członków, z których wielu, prawdę mówiąc, nie bardzo wie, jak poruszać się po scenie. Ale nie o to tylko przecież w tym wypadku chodzi.

Wkrótce przystąpi do pracy z zespołem Jerzy Mariet, młody człowiek parający się pisaniem i reżyserią. Będą więc świeże teksty, lepsze opracowanie.

Część sali osłonięta jest kolorowymi kotarami, oddzielona od reszty. Tam mieszczą się „pokoje zainteresowań”. A więc brydż, bilard, szachy. Wprowadzono kiedyś do klubu stały serwis czasopism, ale z utworzenia „czytelnika” nie wyszło: orkiestra za głośno gra.

Klub czynny jest trzy razy w tygodniu: środy, soboty, niedziele.

KTO PRZYZCHODZI? Przede wszystkim młodzież, od osiemnastu do dwudziestu lat. Wpuszczamy ją za okazaniem legitymacji, czy to szkolnej, czy studenckiej, czy ZMS. Nie stosuje się kart wstępu.

SEZAM i ZAMIERZENIA.

Przeciętna frekwencja na każdym wieczorze: sto pięćdziesiąt sprzedanych biletów. Ale zawsze jest więcej gości. „Draki”, o których słychać było na mieście, działy się nie w klubie, a przed klubem. Ponad połowa chętnych musiała odchodzić od drzwi. Napierali jednak, trzeba było wpuścić milicję.

— Mielśmy wypadek — opowiada kolega S. — że zaczęli wchodzić po żelaznych, przeciwpożarowych drabinkach. Jeszcze są ślady stóp na murze. Raz facet wisiał na jednej ręce, inni go w dół ciągnęli, a my przez okno do góry, bo baliśmy się, że zleci na leś. A on wrzeszczy, że dwa razy tyle zapłaci, żeby go tylko wpuścić. No i wszedł wreszcie, ale pieniędzy nie

wzięliśmy. Dobrze, że się nie zabił.

LOKAL KLUBU to zasadniczo świetlica MZBM. Przez cały tydzień jest nie wykorzystana, nikt tam niczego nie urządza, nie wiem, czy nie byłoby słusznie dać Zetemesowi więcej swobody w dysponowaniu lokalem. Na pewno tak. Tym bardziej, że jak widziałem, praca kulturalna rzeczywiście „idzie”.

No, choćby takie imprezy, jak spotkanie z satyrykiem Safrinem, spotkanie z delegacją młodzieży litewskiej, z redaktorem naczelnym litewskiej „Komsomolskiej Prawdy”. Dyskusja na temat malarstwa i sztuki współczesnej...

Albo piękna inicjatywa powiezienia wszystkich stałych bywalców samochodami

na Dni Młodości do Łowicza wraz z zespołem artystycznym, który będzie tam dawał występy.

RENTOWNOŚĆ klubu to nie taka prosta sprawa, kiedy w klubie ani wina, ani piwa nie kupisz. A jednak — klub jest rentowny! Dochód ze sprzedaży ciastek, kawy, oranżady i papierosów wystarcza na pokrycie kosztów orkiestry (oczywiście są wpływy za bilety wstępu), zatrudnia się bufetowa, księgowa, kelnerki, sprzątaczkę, opłaca się też akompaniament zespołu.

Wydaje mi się, że jednym z głównych czynników wpływających na wysoką frekwencję, której klub zawdzięcza rentowność, jest estetyczna, fachowa i ze smakiem zrobione „przyozdo-

bienie” sali. Na to też powinny zwrócić uwagę inne kluby. „Czajka” przede wszystkim. Oczywiście, „Czajka” zawsze będzie miała trudniejsze zadanie, niż „Sezam”, który mieści się w śródmieściu, gromadzi młodzież ogladającą kulturalnie. „Sezamowi” estrada liczy dwadzieścia osób. Nie wszyscy, jak już wspominałem, czują się dobrze na scenie. Dlatego od jesieni będzie się przeprowadzać eliminacje do zespołu. To da gwarancję wyszukania rzeczywiście utalentowanych ludzi.

„Sezamowi”, istniejącemu od grudnia ubiegłego roku, życzymy sukcesów, i wierzymy w jego rozwój.

A JEDNAK przyszedł Mahomet do góry! Zresztą — zawsze tak bywa. Dla mojego i wszystkich dobra poszedłem w końcu na Piotrkowską 262, gdzie mieści się siedziba Komitetu Łódzkiego ZMS. Zapytałem o kluby. Okazało się, że specjalistą od tych spraw jest kolega R.

— Na terenie Łodzi istnieje dziewięć klubów — powiada. — Cztery kluby dzielucowe, reszta przy zakładach pracy, przy uczelniach, jeden przy szkole...

— Znam już parę klubów — mówię — byłem już w „Czajce”, w „Miki”, w „Sezamie”... —

— „Czajka” to dobry klub — stwierdza kolega R. — A i „Sezam” ostatnio się poprawia. —

— Jak się przedstawia sprawa sprzedaży alkoholu w klubach? —

— Ta kwestia dotychczas nie jest uregulowana. W niektórych klubach jest wino, gdzieś indziej nie ma. Teraz, w okresie kanikuły nie będzie wprowadzali żadnych zasadniczych zmian, młodzież przecież wyjeżdża. Od jesieni natomiast praca ruszy w klubach pełną parą. Oczywiście przy pracy alkoholi raczej przeszkadza, więc go wyeliminujemy. —

— A więc, jakie macie konkretne projekty? —

— Przede wszystkim WPROWADZENIE FACHOWCÓW z różnych dziedzin kulturalno-oświatowych do pracy w klubach. Kierownicy klubów powinni mieć pojęcie o reżyserii, o literaturze, o plastyce. Będziemy urządzali seminarium dla kierowników klubów, przysyłali im do pomocy fachowych inscenizatorów, specjalistów na przykład do brydża czy wędkarstwa, ponieważ główny nacisk kła-

(Dokończenie na str. 5)



JERZY WALEŃCZYK

CZYTELNIK — istota nieznana

Mój czytelnik, odbiorca wierszy, — słuchacz — mógłbym zrekonstruować go z obserwacji na wieczorach literackich, z opinii, zetknąć, mógłbym odtworzyć go takim, jakim się wydaje, a może jest, bo w każdym razie jest to sprawa tzw. rekonstrukcji hipotetycznej — to istota nieznana.

Wiem na pewno, żądał zawsze, aby świadomość wiersza nie stała poniżej jego świadomości. To jego naczelné życzenie, to jego warunek połączenia się z nastrojem, z logiką utworu, z sympatiami i antypatiami wiersza. Ten czytelnik żądał zawsze ode mnie abym nie odrywał się od tzw. rzeczywistości. Niektórym wierszom wierzy, innym przygląda się nieufnie i z przynajmniej lekkim okaskiem. „Wino półśrodek”. Oto historia prywatna. Uwierzone „Powroty ojca”, „Normom”, „Kawami”, może kilku metaforom z „Wiersza do listopada”. Ale to tylko moje osobiste przeświadczenie. Na pewno błędne.

Nie różnicuję mego czytelnika. A jednak. Nie chodzi o stopień manifestacji zgody. Oto salka ciemna, twarze zatarte, lecz nieuniknione. Wiem, zebrał się tu tzw. dołowy aktyw partyjny. „Boża krówka” dostaje brawa, nie te frenetyczne, nie te bardzo zasłużone i nieodwołalne, ale cieszę się.

Dlatego zdaje mi się, że świadomość wiersza zaatakowanego przez świadomość czytelnika potrafiła się skutecznie obronić. To ważne. Poeta powinien myśleć nad środkami obrony ofensywnej, nad igraszkami losu, nad historycznym zalem, i historyczną radością. Czy zawsze świadomość wiersza potrafi się obronić?

Epoka jest ważna. Epoka to ludzie, pokolenie, szerokość i długość geograficzna — to również koniaki chiński, który nie potaniał. Epoka powinna się żarzyć w wierszu jak drucik w wolframowej żarówce. Jak się żarzyć? Czy tak jak jest, czy tak, jak być powinno? To znaczy, czy poezja powinna pomagać w wychowaniu ludzi, aby im było dobrze i aby innym z nimi było dobrze, jak to sformułowała w swoim czasie Komisja Edukacji Narodowej, czy zrezygnować z tych aspiracji na rzecz zapisu chwili?

Świadomość żyjącego, tworzącego historię i postępek pokolenia zakreśla mi krąg nieublagany i rzeczywisty. Ale wspomnijmy na poczekiwa starą Ode.

„Niechaj kogo wiek zamrocy,
Chyląc ku ziemi poradłone
czło,
Takie widzi światło kolo,
Jakie tępy mi zakreśla
oczy”.

Zamroczeni wiekiem musimy podnieść poradłone czło. W przeciwnym razie będziemy mieć tępe oczy. Oto zalecenia dobrej, zielonej Ody. Kto je dziś urzeczywistnia?

Niewątpliwie, powieść astronautyczna. Nie jest to sprawa apetyzmu i pesymizmu, jak by się pozornie wydawało. To raczej sprawa dystansu do surowca literackiego. Wierszowi trudniej. Te ambicje, które go uskrzydlały dawniej poszły na strych między stare graty, poszły do muzeum między relikty dawnej wielkości. Nowa poezja dzisiaj ma wiele kłopotów do przezwyciężenia. Nie są to wyłącznie kłopoty specyficzne dla dnia dzisiejszego. Istniały zawsze. Będzie to sprawa wyboru między Sewillą treści a Harybda formy. Wybór jest trudny i

rozstrzygający. Dla kogo pisać? Dla elity i snobów — czy dla wszystkich? Skamandrycy w okresie międzywojennym liczyli na drobno-mieszczanstwo, dopasowywali się do jego gustów, ciągali kulturalnych i kulinarnych. Ich wiersz był ewidentny w stosunku do tradycji poezji polskiej, zachowywał jego reguły, okraszony post-rimbaudowską wyobraznością.

A co chciałaby tzw. młoda inteligencja wychowana i wykształcona w ostatnim piętnastolecu? Wydaje mi się, że istnieją tu przesłanki, aby mówić o niej, jako o grupie społecznej. Jest niejednorodna. Jeżeli wywodzi się z drobnego chłopstwa, uzyskała specjalizację zawodową, jest najczęściej terenem wdzięcznej ekspansji kulturalnej, mówiąc łagodnie jest do „zapisania”. Jeżeli wywodzi się z grup społecznych cierpiących na takie czy inne wzory kulturowe, będzie tych właśnie wzorów szukać w nowej literaturze. Gdzie jest nowy socjolog literatury, który zbadał warunki odbioru literatury anno domini 59? Gdzie jest nowa „socjologia literatury”? Bystronia?

Świadomość mego czytelnika była w ciągu kilkunastu lat terenem inwazji pojęć różnych systemów światopoglądowych. Ten czytelnik, o którym myślę, jest dialektykiem bez teorii. Chwyta ciąg przyczyn i skutków. Nie można o nim powiedzieć, aby był historycznym niepojętym. Jest nieufny wobec wszelkiego impresjonizmu. Dotyczy to w dużej mierze liryki miłosnej. Mazgajowatość, chutność, bombastyczna agresywność raz już dzisiaj nawet drobnomieszczanina kulturalnego.

Oto zalecenie epoki: obowiązek szczerości. Nie tej historycznej, natrętnie; choć o szczerość wobec warztatu, o poniechanie maskarady.

Staram się wyrażać siebie. Chciałbym wyrazić siebie w kategoriach życia współczesnego, chciałbym odnaleźć cechy tożsamości z grupą. Sprawa to mi dodatkowy kłopot.

To, co nazywamy pokoleniem, nie zbiega się we wspólnym roczniku urodzenia. Pokolenie najczęściej to synonim zaburzeń psychicznych i intelektualnych. Baczyński, Weintraub, Gaycy-Topornicki ujęci w klamrę śmierci Powstania Warszawskiego. Inni zatrzaśnięci w rozterkę pookupacyjnego zadamawiania się. Jeszcze inni — nonkonformiści, irracjonalni. Ci — pogodzeni z mozaiką strzaskanego świata poprzez królestwo infantylnej wyobraźni, roślinnej i artystowskiej. Tamci — cyzelatorstwo formalne, gotowość absorbowania idei połączona z gotowością obrony godności pisarza.

My, łodzianie, cóż mamy dzisiaj do dodania? Jakiej nowości, jakiej prawdy jesteśmy kolporterami? J. M. Rymkiewicz dowiódł, że można pięknie tłumaczyć Amerykanów. O ile się nie myli, jest on w tej chwili jednym z nielicznych przekładowców tej interesującej a nieznanej u nas poezji, ma bodaj na sumieniu największą ilość przekładów.

Moje sympatie osobiste lokuje po stronie prób łódzkiej neoklasyki. Dlaczego? Bo krótsza jest dziś droga do Aleksandra Popa do Trembeckiego, krótsza

(Dalszy ciąg na str. 11)

— 17 —

Statek kosmiczny „Meteor”, prowadzony przez doświadczonego astronau-
tę Norta, wyruszył z Ziemi na Obe-
rona, księżyc Uranu, w celu zdobycia
bezcennego pierwiastka, zwanego le-
vium. Za „Meteor” wysłała pościg
wszechwładna Kompania, również dą-
żąca do zdobycia levium. Po przyby-

ciu do Księżycowego Miasta, na dru-
gim satelicie Uranu — Tytanie, Nort
z towarzyszącymi postanawiają wypoży-
czyć sprzęt antytermiczny, bez które-
go nie można lądować na Oberonie.
Od znanego aferzysty, Charlesa Berdo-
ta. W knajpie Berdota nastąpiło spot-
kanie z oficerami Kompanii.



Nort, muszę słuchać
rozkazów czy po-
dobają się one
mnie, czy nie. Ale
powiem panu jak
mężczyzna męż-
czyźnie: zabiję
pana, jeśli pan
zabierze taką
wspaniałą dziew-
czynę jak Alina
Lourelle, na Księ-
życ Gromowy!

Szczerość Syd-
neya była tak o-
czywista, że Nort
poczuł ku niemu
sympatię. Musiał jednak pamiętać, że
rozmawia z oficerem znienawidzonej
Kompanii.

— Pan niezwykle interesuje się
miss Lourelle — parsknął. — A może
gotów jest pan udać się z nami na-
wet na Oberona, co?

Filip Sydney wzruszył ramionami,
odwrócił się, i razem ze swoimi to-
warzyszami wyszedł z zakładu Ber-
dota.

Jaki rozkaz dała Kompania Syd-
neyowi? Nort był przekonany, że
kazano mu jechać za wyprawą na
Oberona. W każdym razie nie mogą
zagarnąć „Metora”. Wayty i inni
pilnują rakiet.

— Więc pan wybiera się na Gro-
mowy Księżyc? — zapytała Nova
Smith. — Marny sposób samobój-
stwa!

Nort spojrział na dziewczynę z iro-
nicznym uśmiechem.

— Byłem tam, gdy pani w pielusz-
kach znajdowała się na Ziemi.

Przez tłum przecisnął się Connor.
Za nim szedł szczupły, wysoki mę-
czyzna.

— Oto jest Charles Berdot — we-
szoło przedstawił go Connor. — Spo-
tykałem się z nim jeszcze na Jupite-
rze. Prowadził tam dom gry.

Awanturnik planetarny przypomi-
nał wilka. Coś zbyt otwarcie dra-
pieżnego było w jego przystojnej
twarzy, w blasku jego białych zębów.
Kosztowne ubranie z czarnego jed-
wabiu syntetycznego było świetnie u-
syte; na szczupłej, białej ręce błys-
kał pierścień.

— Connor powiedział mi, że po-
trzebujecie sprzętu? — zapytał z u-
daną obojętnością.

Nort krótko kiwnął głową.

— Potrzebne nam jest wzmocnio-
ne antytermiczne urządzenie dla
dwunastomiejscowego krążownika i
co najmniej dziesięć sztuk insulito-
wych skafandrów z indywidualnymi
antytermami.

— Duże zamówienie — zmarszczył
się Berdot. — Gdzie jedziecie?

— Na Oberona — spokojnie od-
rzekł Nort.

Berdot wybuchnął śmiechem.

— Czy nie zamierzacie poszukiwać
tam levium?

— Co w tym śmiesznego? — zapy-
tał Nort.

Berdot chichotał.

— Nie ma miesiąca, aby nie poka-
zywał się tu jakiś stary kosmiczny

— 18 —

szczur i nie opowiadał, że wybiera
się na poszukiwanie levium.

— Czy tamci pokazywali panu coś
w tym rodzaju? — zapytał Nort.

— Wydał mi się, że szkła kryształowe,
którą otrzymał od Aliny.

— To jest levium z Księżycy Gro-
mowego? — zapytał pośpiesznie Ber-
dot.

— Tak — odrzekł Nort.

Czarne oczy Berdota błysnęły po-
żądliwie.

To jest zupełnie inna sprawa! Sądzę,
że możemy pogadać jak ludzie interesu.
Proszę do mojego kantoru...

Nort i Connor poszli za nim przez po-
dniecony tłum do małego biura.

Na bezczelnej, ładnej twarzy Berdota
rysowała się się chciwość, gdy zapy-
tał:

— Doskonale, a gdzie znajduje się na
Oberonie to levium? Jak zamierzacie
lądować na tym piekielnym księżycu,
aby się nie upieć?



Nort zaśmiał się krótko.

— Tego pan się nie dowie! Oto jest
nasza propozycja: pan pożyczycie nam
sprzęt antytermiczny, a my podpisze-
my z panem umowę. Oddajemy dziesięć
procent naszego levium.

Nort pokrótce opowiedział Berdoto-
wi o tym, jak ojciec Aliny Lourelle od-
krył levium; jak ona zwróciła się do
starych astronautów, aby pomogli jej
odszukać ten skarb; jak Kompania u-
siłowała przeszkodzić im w tym zamie-
rzeniu.

Oczy Berdota zwały się.

— Jeśli Kompania ugania się za wa-
mi, to w tym coś musi być — mruknął
zamyślony.

Po chwili wyciągnął rękę.

— Nort, możecie mi nie ufać, ale ja
wam ufam. Dam wam sprzęt, którego
potrzebujecie i nie trzeba mi żadnej u-
mowy. Wystarczy mi pańskie słowo.

Skierował się do drzwi.

— Natychmiast dostarczymy sprzęt
na wasz statek.

— No, wreszcie dogadaliśmy się —
krzyknął z zachwytem Connor. Gdy
wyszli z knajpki stał przed nią Berdot,
rozmawiający ze swoimi trzema pomo-
cnikami. Tennig był silnym, szerokim
w ramionach poszukiwaczem o niewy-
rażnym spojrzeniu. Kells i Darm byli
od niego młodszy, bardziej prostacy i
sztywniejsi.

— Jesteśmy gotowi — powiedział
Berdot do Norta. — Tennig z chłop-
kami pomogą wam załadować rzeczy.
Mamy rakietową ciężarówkę.

Kiedy ruszyli przez tłum, Nova

Smith schwyciła Norta za rękaw.

— Pilocie, muszę z panem porozma-
wiać — powiedziała natarczywie.

— Przepraszam, śpieszymy się — o-
schle odrzekł Nort mijając ją.

Ciężarówka zaturlotała na gwar-
nej ulicy Księżycowego Miasta pod-
ążając do jednego ze składów zaopatrze-
nia.

W składzie Berdot zaczął zaciekłe tar-
gować się o cenę sprzętu. Zasadniczą
jego częścią było osiem mocnych anty-

— 19 —

termitów, podobnych do dużych, sre-
brnych cylindrów. Zewnętrzna osłona
itryonowa mogła stałe wydzielać pro-
mienie, które neutralizowały energię
fal cieplnych.

Insulitowe ubrania posiadały takie
same, lecz mniejszego wymiaru anty-
termity umocowane na plecach. Ubra-
nia te były podobne do zwykłych ska-
fandrów, z tym jednak, że były zrobio-
ne z materiału ułożonego warstwami z
substancji najbardziej odpornych na
gorąco.

Kiedy ciężki sprzęt został załadowa-
ny na ciężarówkę, Berdot kazał Ten-
ningowi jechać do kosmoportu.

— Wiem, że chcecie odlecieć jak naj-
prędzej — powiedział do Norta. — Bę-
dę oczekiwał na wasz powrót z moją
częścią levium.

Ciężarówka wyjechała z Księżycowe-
go Miasta i pomknęła po drodze pro-
wadzącej do portu kosmicznego. Z oby-
dwu stron w zielonym półmroku widać
było drzewa paprociowe. Duży nietoperz
wpadł w światło reflektorów i ułknął
trzaskając skrzydłami.

Zbliżali się już do portu, gdy Nort
zauważył na drodze przed nimi czyjąś
postać. Krzyknął i Tennig zatrzymał
samochód.

— O co chodzi? — gwałtownie za-
pytał Berdot. On i jego ludzie chwycili
za broń.

— To Stenny — odpowiedział Nort,
zeskakując z samochodu. — Jeden z
naszej załogi. Jest umyślowo chory.

— To ty, Johnny? — powiedział Sten-
ny, gdy Nort zbliżył się do niego. —
Cieszę się, że ciebie widzę. Wyszedłem,
ale nie wiedziałem gdzie ciebie trzeba
szukać.

— Nie powinienes sam tutaj się wa-
łęsać, Stenny — odpowiedział Nort.
Chodźmy z powrotem na „Metora”.

W błękitnych oczach Stenny'ego od-
bił się wyraz zakłopotania.

— Nie możemy powrócić na statek,

Johny. Dlatego poszedłem ciebie szu-
kać. Na statku teraz są inni ludzie.

— Inni ludzie? — zapytał zatrwo-
żony Connor.

Stenny zrobił nieokreślony ruch.

— Inni, w szarych mundurach.

— Kompania! — wydarł się okrzyk
rozpaczy z ust Norta.

— Jak, u diabła, mogli sobie przy-
właszczyc statek? — zapytał świszą-
cym głosem Berdot.

Stenny wyjaśnił z dziecinną prostotą:

— To stało się niedawno, Johny. Way-
ty powiedział, że mogą się przejść.
Chciałem się tylko rozejrzeć. Musia-
łem się przekonać, czy lądowałem tu,
gdy byłem pilotem...

A potem ujrzałem, że do naszego sta-
tku zbliżają się ludzie w szarych uni-
formach. Strzelali z pistoletów. Wayty
i wszyscy inni usnęli. Wtedy szarzy lu-
dzie weszli do środka. Obawiałem się
tam iść.



— 20 —

— Gaz! — ze wściekłością krzyknął
Nort. — Sydney zastosował gaz usypia-
jący, aby opanować statek.

— Odbierzemy go! — wybuchnął
Connor. W ręce Irlandczyka błysnął
czarny metal pistoletu atomowego.

Zgasili światła i pomknęli przez
dżunglę. Na skraju kosmoportu cięża-
rówka zatrzymała się.

Ukrywając się w cieniu paproci, ob-
serwowali scenę, która odbywała się w
odległości stu jardów od nich. „Metor”
znajdował się na dawnym miejscu,
lecz przed otwartym głównym włazem
statku, czujnie go pilnując, stało trzech
ludzi w szarych mundurach.

Nort szybko odwrócił się w stronę
Berdota.

— Czy pan posiada na ciężarówce
klucz automatyczny? Dość duży, aby
odkrocić dyszę?

Charles Berdot zmarszczył się.

— Tak, na ciężarówce są narzędzia.
Jednak nie rozumiem...

— Czy dojdzie do walki, Johny? —
ze zdziwieniem zapytał Stenny.

Nort znalazł w skrzyni z narzędzia-
mi ciężki klucz nadający się do odkre-
cania zepsutych dysz. Zabrał go, a przy
sposobności wziął również mały klucz
i ruszył w stronę „Metora”. Minął
część narożną portu kryjąc się w ge-
stym cieniu wysokich paproci, dopóki
nie znalazł się na tyłach statku. Naste-
pnie szybko przebiegł przestrzeń oświe-
tloną zielonym światłem Uranu i pra-
padł do ziemi. Tuż przy nim znajdo-
wały się dysze rufowe. Było ich ogółem
szesnaście, o średnicy dwóch stóp każ-
da. Nort pośpiesznie dopasował klucz
do jednej z dolnych dysz.

Wiedział o tym, że jest to bardzo ry-
zykowne. Dysza musi wydać zgrzyt, gdy
zacznie ją odkręcać. W tej chwili od-
różnił w głuchym szumie różnych od-
głosów dżungli przenikliwy krzyk nie-
toperza, który powtarzał się co kil-
ka chwil.

W chwili, gdy nietoperz krzyknął na
nowo, nacisnął z całej siły klucz. Dy-
sza poruszyła się z ostrym zgrzytem,

który zmieszał się z krzykiem nieto-
perza.

Powstrzymując oddech, zaczął z nie-
zwykłą ostrożnością odkręcać dyszę.
Wreszcie zdołał ją zwolnić. Waga ma-
sywnej rury była tak duża, że musiał
zdobyć się na największy wysiłek, aby
ją opuścić na ziemię nie wywołując
zdradliwego stukotu.

W miejscu po dyszy, w rufie „Met-
ora”, był otwór o przekroju dwóch stóp.
Nort wczuł się do środka i znalazł
się w czarnej od sadzy rurze. Odkreślił
krzyż i po kilku sekundach zdjął część
rury.

Pozostawiwszy narzędzia na podło-
dze, przecisnął się przez otwór i prze-
dostał się do ciemnego pomieszczenia
cyklotronowego na rufie „Metora”.
Naokoło znajdowały się ciężkie cy-
klotrony, opatane siecią przewodów.
Nort wyjął pistolet atomowy i ostro-
żnie wysunął się na korytarz.

Po cichu wszedł na wąski mostek i
ostrożnie zajrzał do długiej, jasnej ka-
biny.

Przed wszystkim ujrzał Wayty. Do-
raka i Hansena — siedzieli na podłodze
przy ścianie, ze związanymi rękami
i nogami.

Alina Lourelle stała wyprostowana
przed Filipem Sydney'em. Jej delikat-
na twarz pobielała z gniewu. Młody
oficer Kompanii stał tyłem do Norta
i prowadził rozmowę z dziewczyną.

— Przecież naprawdę zagarnęłam
ten statek dla pani, miss Lourelle —
mówił Sydney. — Nie mogę pogodzić
się z tym, aby taka dziewczyna jak
pani znalazła śmierć na Oberonie. Nie
mogę pozwolić pani lecieć na ten prze-
klety księżyc.

Nort cicho i szybko wysunął się na-
przód i przyłożył swój pistolet ato-
mowy do pleców młodego oficera.

— Proszę nie ruszać się! — roz-
kazał.

dalszy ciąg nastąpi



WERNHER von BRAUN, twórca niemieckiego pocisku rakietowego V₂ oraz amerykańskiego satelity Słońca, opowiada o pierwszej podróży na Księżyc. To nie jest fikcja naukowa. O ile pozwala na to dzisiejszy stan wiedzy, można stwierdzić, że jest to rzeczywistość. Tak będzie jutro.

Autor przewiduje, że w latach 1961-1963 zdolnie kierowana rakietą ze zwycięstwami obleganie orbity Księżyca, że w 1963 roku odbędzie się sama podróż rakietą z ludźmi, a w 1966 nastąpi pierwsze lądowanie na Księżycu.

Opowiadanie o najbardziej niezwykłej przygodzie człowieka — pierwszych krokach poza terenem Ziemi — ilustrował według wskazówek von Brauna, Fred Freeman.

Ciszę nocną mać przeraźliwy gwizd syreny, z małego atolu na Pacyfiku zapowiedź radiowa biegnie do wszystkich obserwatorów świata.

Zgiełk ostatnich przygotowań nie dochodzi do wnętrza kabiny. Ciężko brzmią żyraskopowy i prądnicę — leciutko podmuch owiewa twarz pilotów — aparaty klimatyzacyjne działają. Widoczne przez szybę ochronną łagodnie i przyspieszenie migocą dalekie gwiazdy.

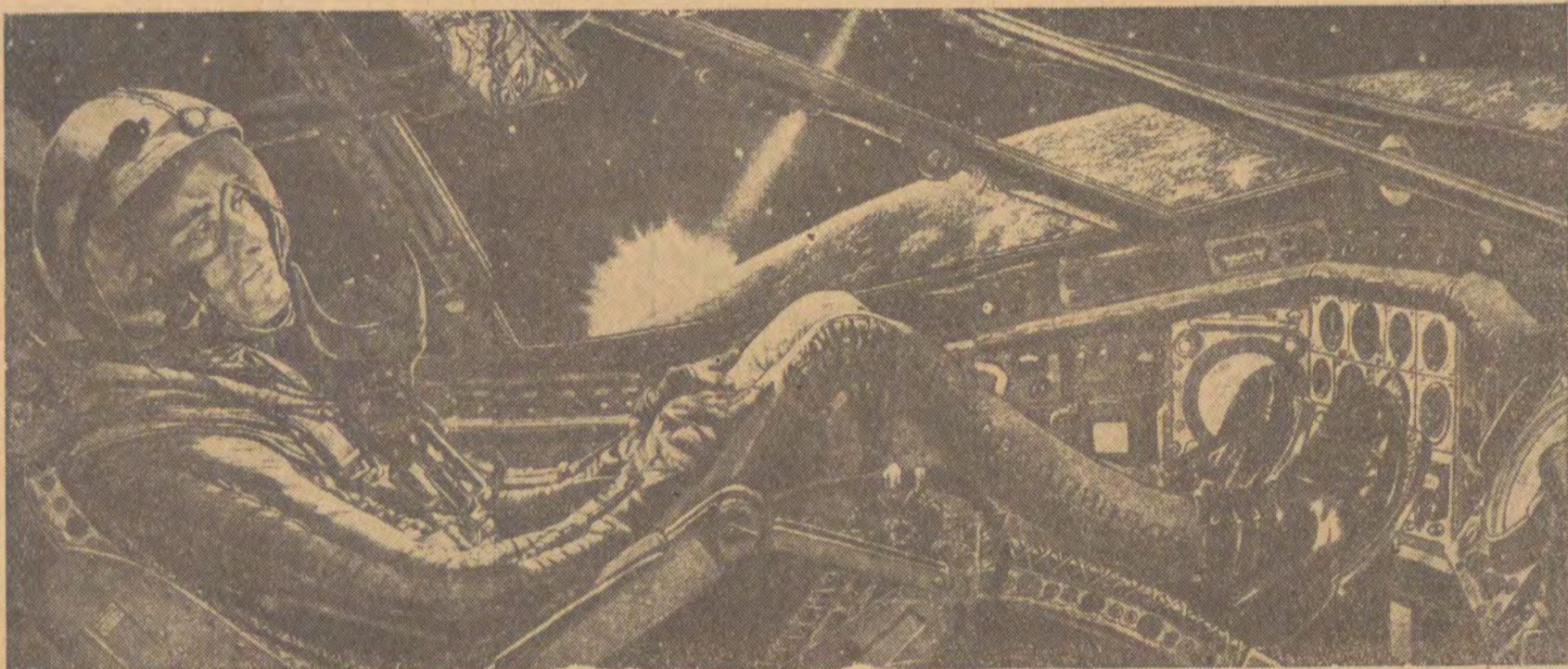
X — 60. Na obu tablicach pokładowych zapala się znak magiczny: za 60 sekund odlot. John Mason i Larry Carter wtulają się w głąb foteli-leżanek, czeka ich piekielny wstrząs w momencie startu. Jest ich dwóch, jeden człowiek nie podobałby trudom sześćdziesięciogodzinnej podróży. 385 tysięcy kilometrów — nie bagatela. Przed każdym widnieją identyczne tablice pomiarowe, będą się mogli w drodze swobodnie luzować.

Stanowią zgraną załogę. Obaj przeszli jednakowe, twarde przeszkolenie, prawie dwa lata ćwiczyli się razem, zanim ich właśnie spośród wielu kandydatów wyznaczono do odbycia upragnionej wyprawy.

Razem męczą się w izolowanej wirującej kamerze, poddani działaniu potężnych sił odśrodkowych, nasładowujących przyspieszenie ruchu rakiet. Technik przy specjalnej tablicy kontrolnej odzwierciedla wszelkie możliwe typy bodźców i notował reakcje. Dobiegali kresu wytrzymałości, gdy pod ciśnieniem ciężar ich ciała wzrastał czteremastokrotnie, a jednak wytrzymali i to.

Przyjemniejsze, fascynujące zgola były wykłady w astronautycznym — rodzaju wielkiego planetarium, gdzie nauczali się mierzyć pozycję własnego kosmicznego pojazdu oraz Ziemi i Księżyca w stosunku do układu gwiazd. Było to konieczne, mogło się zdarzyć, że rakietę odechł się z wytyczonej trasy i załogę potrzebna naregulowania lotu na właściwy kierunek.

Wiedzę tę posiadali także ich koleżdy, wykazywali również nie mniejszą wytrzymałość. Wybrano jednak ich dzięki najlepszemu opanowaniu pilotażu. Umiejętność ta zadecyduje bowiem o powodzeniu wyprawy, tylko najwyższa sprawność pozwoli lotnikom przeżyć ostatnią, krytyczną fazę lotu, przejście w drodze powrotnej do atmosfery.



Tego jeszcze nikt nie widział. Wschód słońca nad Ziemią oglądany z wysokości 7.000 km.

ry ziemskiej. Będzie to chwila, gdy spokojny rytm lotu w próżni kosmicznej zostanie brutalnie zakłócony. Przy szybkości około 30 tys. km na godzinę dziób i skrzydła rakiet zapalają się i rozgrzewają do białości. Jeżeli nie uda im się wśliznąć na tor wylotowy z maksymalną dokładnością, nie mają żadnych szans — rozprysną się na rój drobniutkich meteorytów.

Cyfrы na zegarze kontrolnym gwałtownie maleją. 15, 10, 5, 0. Potężny, huk, ryk silników, z dyszy wylotowej bucha płomień. Ogromna pięciostopniowa rakietka odrywa się od ziemi.

W kabine ciśnienie rośnie. Po dwóch minutach akcelerometr wskazuje już „8g”. Gra-

karze specjaliści, choć przyczyn wyjaśnić nie umieli. Ale po jakimś czasie i ten stan przemija. Mieli przecież zaprawę.

Sygnały z Ziemi. Radio donosi, że lekko zboczyli z toru. Odchylenie nie warte wzmianki, zbyt wcześnie jeszcze, by wyrównywać lot. Wystarczy gdy po 24 godzinach wprowadzą poprawkę.

We mgle spowijającej Ziemię zobaczyli brzegi Ameryki Południowej. Przelecieli nad wielką zieloną płaszczyzną — dżunglą brazylijską i po kilku minutach znaleźli się nad Atlantykiem. 25 minuta lotu, wzniesli się już na 6500 km — tyle mniej więcej ile wynosi promień kuli ziemskiej. Po dwóch godzinach

nie tylko utrzymują jednolitą temperaturę i wilgotność, nie tylko zabezpieczają dopływ tlenu i usuwają dwutlenek węgla, ale wprawiają nieważkie powietrze w ruch. Inaczej dwutlenek węgla zatrzymałby się po wydechu przy ustach i nastąpiłoby rychłe zatrucie organizmu.

Małenka prądnicą o bardzo szybkich obrotach czerpie energię z małego reaktora jądrowego umieszczonego na dziobie rakiet. Ale jak to wszystko naprawić w czasie lotu?

— Przecież nie było alarmu świetlnego. Sprawdź jeszcze raz.

— Falszywy alarm — powiedział op chwilę Larry. — Z Ziemi podają, że generatorzy działają bez zarzutu. To tylko ten przekłety amperometr się zacina. Zaraz się do niego zabiorę.

Z kolei John zaczął kontrolować zbiorniki. Nie można dopuścić do zamrażnięcia, ani nadmiernej sprężenia materiałów pędnych. By zachować największą wydajność motorów, trzeba przechowywać paliwo w określonej temperaturze. Osiaga się to dzięki zaworom termostatu, które zamykają się lub otwierają w miarę ilości promieniowania słonecznego absorbowanego przez różne punkty powierzchni zewnętrznej i rakiet. Również zbiorniki płynnego tlenu, zapasy wody i urządzenia chłodzące muszą być utrzymywane w odpowiednich temperaturach. W regularnych odstępach czasu trzeba to wszystko kontrolować.

Po 24 godzinach lotu nadszedł czas na pomiary astronomiczne. John udał się do astroskopu.

Na obsydanowo czarnym tle nieba gwiazdy nie migotały, świeciły równym, jednostajnym światłem. Ziemia zmieniła się we wspaniały wielobarwny dysk o średnicy kilkakrotnie przewyższającej widzialną tarczę słoneczną. Tylko białe pozostali taki sam, cienki sierp ani odrobnie nie większy niż oglądany dobie wcześniej z małej wyspki na Pacyfiku.

Po sfotografowaniu gwiazd okazało się, że istotnie zesłali nieco z kursu. John podkładał cyfry i Larry bez trudu zawrócił na właściwy tor.

Druga doba lotu minęła bez wrażeń. Samopoczucie ich poprawiło się, drzemali na zmianę. W podniecenie wpadli dopiero w 50 godzinie od chwili startu.

Wysokościomierze podały, że przekroczyli linię neutralną między polami przyciągania Ziemi i Księżyca. Ale nie była to dla nich chwila uciechy, jak dla ziemskich podróżnych, którzy na luksusowych parowcach oceanicznych przepływają równik. Przeciwnie, czekała ich teraz wielka próba. Do tej pory, przez 9/10 drogi rakietka traciła nieustannie na szybkość. Ostatnio lecieli zaledwie z szybkością normalnego odrzutowca. Obecnie zaczęli spadać. Księżyc oddalony jeszcze o prawie 40 tys. km. Spadać w tempie ponad 10 tysięcy kilometrów na godzinę. Jeżeli nie zmniejszą szybkości i nie będą umiejętnie sterować, roztrzaskają się o skały.

Zjedli trochę suchego prowiantu, popili herbatą. To wcale nie była prosta sprawa. W stanie nieważkości płyn się nie wylewa, trzeba



Uśmiech z Ziemi. Telewizja pozwala podróżnym międzyplanetarnym kontaktować się z rodzinami. Jest to konieczne, pomaga pilotom zmniejszyć przytłaczające uczucie samotności.

go wyciskać z elastycznych plastikowych butelek.

Manewr lądowania musieli zacząć od przekroczenia rakiety, usiąść mieli na ognie. Jakkolwiek ostatni człon statku posiada skrzydła, z braku atmosfery nie można sterować płaniami jak w zwykłym samolocie. Trzeba było posłużyć się specjalnym systemem żyroskopów. Trzy małe urządzenia żyroskopowe poruszane elektrycznością powstrzymały ruch rakiet, następnie przez obrót wsteczny powoli przekreśliły ją ogniem w stronę Księżyca.

Teraz zaczęli szybko opadać. Przywiązani pasami do foteli czynili ostatnie manipulacje. Larry morował się z hydraulicznym mechanizmem „podwieszania”. John wprawił w ruch system regulacji dopływu paliwa. Na wysokości około 1000 kilometrów wysokościomierz radiolokacyjny włączył automatycznie motory, by przez odrzut w przeciwnym kierunku opóźnić opadanie. Na ekranie radaru widać było odbicia impulsów. Wysłanych z rakiet o powierzchni Księżyca. Obserwując narastający rytm impulsów i ich odbicie John mógł regulować moc silników, by tempo schodzenia równoważyło się ze zmianami wysokości. Umiejętnie kierowana rakietka osiadła łagodnie niby helikopter.

Ze swojego siedzenia John widział Księżyc tylko w małym lusterku pod dachem kabiny. Po chwili jednak na ekranie telewizora ukazał się rosnący błyskawicznie pejzaż krateru. Celem ich był niewielki i niezbyt głęboki krater w okolicy bieguna północnego ze względu na panującą tam możliwie umiarkowaną

temperaturę spowodowaną położeniem Słońca nisko nad horyzontem. Powinni byli wylądować tuż przed wschodem Słońca.

Przy pomocy dwóch gałek regulatorów umieszczonych w poręczach fotela John celował na punkt lądowania przez przecięcie się dwóch linii kierunkowych. Linie te były ruchome, przesuwając je mógł zboczyć z toru lotu sterowanego automatycznie i uniknąć w ten sposób zderzenia ze skalami lub wpadnięcia w szczelinę zbyt małą, by widniała na fotografi.

O kilka tysięcy metrów ponad powierzchnią gruntu Larry wyrzucił podwozie — cztery hakowane lapy zakotwiczenia. Lapa piała, gruby stalowy pręt zakończony zderzakiem przeciwwstrząsowym wysunęła się przez dyszę wylotową.

Lotnicy poczuli krótkie zderzenie i pręt wbił się w grunt. Przez chwilę rakietka kołysała się niebezpiecznie na jednej nodze, ale już lapy boczne znalazły oparcie i zniechęciła w pozycji pionowej.

John włączył nadajnik radiowy i zameldował zwycięstwo: — Godzina 23.58 czasu Greenwich. Stanęliśmy na Księżycu. Wszystko w porządku. Ruszamy na badanie terenu.

Von Braun o locie na KSIĘŻYC

(Opracowane na podstawie artykułu von Brauna z „Paris Match”)

vity — ciężkość: każdy kilogram wagi żywego ciała trzeba pomnożyć przez 8. John, choć wcale tego nie czuje, waży w tej chwili 640 kg. Nie czuje? Dlaczego więc zapada się tak w fotelu, dlaczego nie może się wyprostować? Na szczęście nie musi. W tej chwili steruje Larry, z trudem, sztywnymi palcami manipulując gałkami wystającymi z poręczy fotela.

No, moment ulgi. Pierwszy człon rakietki odpada. Ale to tylko sekundy. Przyspieszenie rośnie, a z nim i ciśnienie. Odpada drugi człon. Ale już jest „11g”, osiągnęli najwyższą szybkość — 40000 km/godz — właśnie tyle, ile trzeba, by przewyższyć siłę przyciągania Ziemi. I nagle nylonowe sprężyny wyrzucają pilotów w powietrze. Manometr wskazuje „0”. Ludzi opanowuje niezwykła błogość. Nie waży nie, absolutnie nie. Ciąta przestały ciążyć. Jak wolne ptaki mogą unosić się nad ładami.

Absurd. Tego nerwy nie wytrzymują. Następuje gwałtowna reakcja, robi im się niedobrze, wpadają w tym większe przynębienie. Wiedzieli o tym również le-

przebyli dalsze 26 tysięcy kilometrów, ale ciągle jeszcze znajdowali się nad Oceanem Atlantyckim. A więc tor rakietki wyprostował się, ustąpiło zbaczanie na wschód.

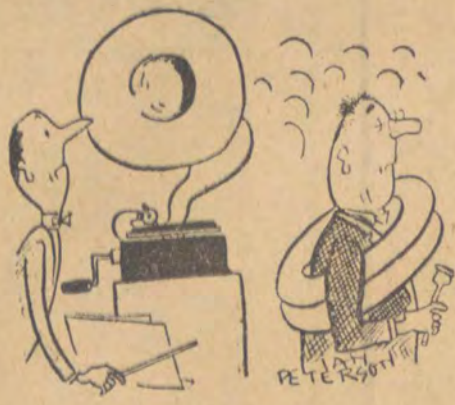
— John, John. Dynamometryczny.

John spostrzegł, że Larry nie siedzi poniżej, jak było w chwili startu, lecz razem z fotelem buja nad jego głową. Widocznie rakietka obróciła się dookoła osi i wypoziomowane fotela automatycznie przesunęły się.

W czasie lotu kosmicznego słowa „w górę” i „w dół” nie miały znaczenia. Astronauci mówili „przed” i „za”, o Ziemi mówili „z tej strony”, o Księżycu — „tam”. „Prawa” i „lewa” strona oznaczała po której ręce, ale nie ma związku z położeniem gwiazd w przestrzeni.

— Co się stało? — Główny amperometr stoi na zerze.

Uszkodzenie prądnicę byłoby jedną z najpoważniejszych katastrof, jakie się mogą przydarzyć w czasie lotu międzyplanetarnego. Oznaczało to przede wszystkim uniemożliwienie aparatury klimatyzacyjnej, a więc śmierć pasażerów przez uduszenie. Pompy i tłoki klimatyzacji



Humor waka- cyjny

(Bez słów)

ZYGMUNT FIJAS

Kilka praktycznych a tanich maseczek wczasowych



Wybieracie się, piękne panie, na wczasy. Uskładaliście sobie trochę gotówki na przejażdżki samochodami, statkami, tratwami, łódkami a nie rzadko furmankami... Wasze prawdziwe fibrowe walizki wypełnione są przepięknymi kostiumami plażowymi i sukienkami... Wasze prześliczne na kolor rudy przefarbowane brwi i rzęsy przyciągają mężczyzn z odległości kilometry; czupryny zabarwione na kolor liliowo-siwy... z odległości co najmniej pięciu kilometrów... Pochłaniacie stopy modnych książek, aby błyszczeć czytaniem na wycieczkach, balach wczasowych i wesolych mitingach, przygotowanych troskliwie przez młodych i dowiecznych referentów rozrywkowych, odznaczonych w przylegające do ciała służbowe dresy z bawełny...

Cóż jednak znaczy gotówka, co fryzura żeby nawet wykonana przez samego Antoniego sztuki fryzjerskiej, co intelekt, co stroje, jeśli na wczasach ujawnia się na twarzy pani brzydki fafel?

Piękna Pani może czarować swym czytaniem samego profesora uniwersytetu, lecz gdy przyjdzie do czego, naukowiec popędy za byle wczasową naguska, jeśli tylko na jej jagodach nie uformował się plugawy bąbel, jeśli mlejsca pod jej pięknym nosem nie oszpeca zbyteczne owłosienie niedozwolonej gęstości.

Co czynić, aby w warunkach wczasowych, w okolicach niezaświeconych oddalonych od najbliższego kosmetyka, zachować świeżą cerę? Czy wozić z sobą przekłamane kosmetyki zagraniczne?

Przenigdy! Często zwyczajny „tatar“ narzucony na twarzyczkę wywiera większy skutek niż jakże oddalone od najbliższego kosmetyka, zachować świeżą cerę? Czy wozić z sobą przekłamane kosmetyki zagraniczne?

Bywa że piękna pani zbiera na wczasach grzyby, aby je po wysuszeniu korzystać spieniężyć... Wystarczy rozetrzeć na rączce kilka maślaków, dorzucić do nich ciut, ciut malin leśnych lub poziomek, nałożyć tę mieszaninę na buzię a nazajutrz skórka będzie miękutka jak atlas. Wyborną maseczką na noc jest mieszanina: ogórków małosolnych, przecieru z pieprzu tureckiego z łyżką bułgarskiej pasty pomidorowej... Rano budzimy się z wypiekami na twarzy imitującymi (do złudzenia) naturalne dziewczęce rumieńce.

W pośpiechu, gdy zapomniałyśmy o jakiejś taniej wczasowej maseczce, na zabawę już dzwonią, referent rozrywkowy gwizdże na swej „gwizdecie“, wystarczy dobrze wyszczypać policzki i kilka razy zagryźć wargi do krwi, a czerwień sama wyjdzie na powierzchnię twarzy, skoro w pięknej kobiecie jest utajona.

Kilka wyżej podanych wzorów maseczek to zaledwie jedna milionowa część tych kosmetycznych sposobów i sposobików, dzięki którym praktyczna i dbająca o swój świeży wygląd pani zawsze będzie przodować w gronie swych rówieśniczek, a nawet młodszych od siebie o kilkadziesiąt lat podlotków. Amen.

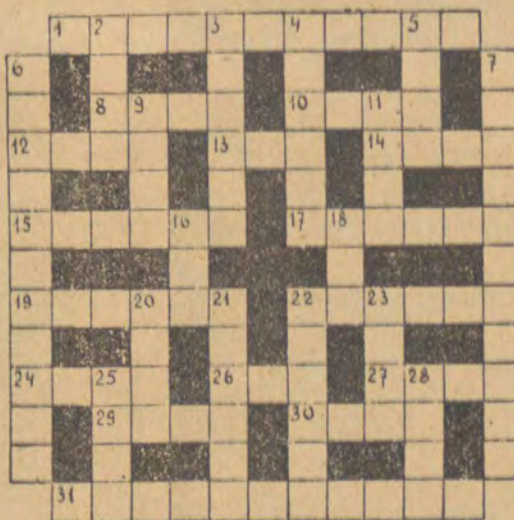


— Czy mogę Ci dorysować włosy, bo wtedy będę mogła pokazać rysunek koleżankom.



„Symfonia Pastoralna“

Nasza krzyżówka



Znaczenie wyrazów

POZIOMO — 1) Nauka o elektronie i o wyszkiwaniu w technice praw ruchu elektronów w polu magnetycznym i elektrycznym w próżni, 8) Rodzaj mgły, 10) Mineral, odmiana chalcedonu, 12) Przewinienie, 13) Metal, 14) Wawrzyn, 15) Kolejne miejsce w episie zwycięzców, 17) Rze-

mieśnicy, 19) Grobla, tama, 22) Pochyla ściana wykopu lub nasypu ziemnego, 24) Urok, 26) Dowódca janczarów, 27) Ekspozat, 29) Przyjęcie wieczorowe, 30) Mamusia, 31) Sztuka kulinarna.

PIONOWO — 2) Imię meskie, 3) Puklerz, 4) Reszka dopalającej się świecy, 5) Znak wysokości na mapie, 6) Współzawodnictwo, 7) Gra na skrzypcach, 9) Skrzynia, 11) Ptak pólnocny, 16) Pierwotek promieniotwórczy, 18) Okres czasu, 20) Rzeka o czystej, 23) Częstka materii, 25) Korab, 28) Murzyn, przyjaciel Stasia i Nel, 21) Miłośnik, zwolennik, 22) Czarownik i znachor.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 22.

POZIOMO — kanapa, kadryl, miąsa, tunak, czako, czas, karo, kantata, dzianet, aura, alka, warta, ocena, torba, aparat, oktawa.

PIONOWO — kamica, niasa, plac, auto, rumba, liktor, Zinaida, klarnet, „Skoda“, karta, karoca, panama, rze-pa larwa, waza, atak.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Irena Sadowska, Łódź, ul. Próchnika 22 m. 17.
2. Kazimierz Sobczak, Łódź, ul. Rybna 6-a m. 29.

Mieszani

pod redakcją JANA HUSZCZY

Wywiad z samym sobą

PYT.: Twoi koledzy udzielają na prawo i lewo wywiadów, zabierają głos w ankietach i wypowiedziach, a Ty?

ODP.: Nikt mnie o nie nie pyta, co zresztą nie sprawia mi przykrości, gdyż sam od czasu do czasu w różne sprawy się wtrącam.

PYT.: Więc nie udzielisz wywiadu?

ODP.: Aż taki odporny to ja nie jestem!

PYT.: Znam Twój krytyczny pogląd na łódzką prasę. Co jej tym razem masz do zarzucenia?

ODP.: Małe i powierzchowne zainteresowanie problematyką kulturalną, nieobecność felietonów i wierszy, obojętność dla popularyzacji plastyki i — przede wszystkim — niechęć do jakiegokolwiek polemiki. Bez polemiki życie umysłowe miasta grzęźnie pod nieruchomą rzęsą. Jeśli zaś chodzi o periodyki, taka „Karuzela“ mogłaby przynajmniej urozmaicić swoją czołówkę. Jej pierwsza strona od dłuższego czasu za bardzo przypomina niestawnej pamięci przedwojenne łódzkie „Wolne żarty“.

PYT.: Co w ostatnich czasach czytałeś? Tylko odpowiedz szczerze!

ODP.: Niestety, nie czytałem zbyt wiele! W lekturze dominowała poezja. Przeczytałem z dużą satysfakcją: „Śpiewaka „Zielone ptaki“ (boga wyobraźnia poetki, szczęśliwie ujęta w rygor, żywiąca się przy tym najważniejszymi ludzkimi sprawami), (Słobodnika „Cieślar ziemni, (wiele świetnych miniatur poetyckich), Anny Kamińskiej „Poezje wybrane“ (m.in. przejmujący cykl wierszy o matce). Często przeglądam niedawno nabytą, bogato ilustrowaną monografię o Paulu Klee, nauczyłem się obcowania z tym świetnym malarzem.

Poza tym przeczytałem: Mackiewicz „Zielone oczy“ (powiadają, zabierają głos w ankietach i wypowiedziach, a Ty? raz drugi i ze znacznie większą satysfakcją), Morawskiego „Kilka lat młodości mojej w Wilnie“ (świetny pamiętnik), Gomolińskiego „Ucieczkę“ (aż dziw bierze, że ten jest autorem fatalnych „Wieczorów nad Łódką“).

PYT.: Skoro już mówimy o lekturze, to może chciałbyś coś powiedzieć o swoim środowisku?

ODP.: Raczej nie, gdyż postanowiłem jak najmniej stykać się z ludźmi swojego zawodu, swojego środowiska. Kontakt z ludźmi innych zawodów wzbogaca w sposób znacznie cenniejszy.

PYT.: Skoro już mówimy o lekturze, to może chciałbyś coś powiedzieć o swoim środowisku?

ODP.: Niektórzy z kolegów za mało piszą, a za dużo występują na wieczorach autorskich.

PYT.: Kogo masz na myśli?

ODP.: Chytrys! I tak mam wielu wrogów!!!

PYT.: A na jakie książki czekasz, gdyż na ten temat mówisz najchętniej?

ODP.: Na swoje wiersze wybrane, na dalsze tomy Morawskiego, na zbiorowy tom wspomnień, który wkrótce ma się ukazać pt. „W stołecznym Lublinie“, nakł. Lubelskiej Spółdz. Wydawn... Zbliża się 22 lipca, upłynęło 15 lat od tamtych trudnych, barwnych i jakże skomplikowanych czasów, które są mi bardzo bliskie. Boże, piętnaście lat! „Tak mało przeszło się dróg, a tak wiele popełniło się błędów“...

PYT.: Czy to jakieś uogólnienie?

ODP.: Skądże znowu! Cytat pochodzi z mego ulubionego Jesienina, a myśl z melancholii o tych swoich piętnastu latach...

Przegląd prasy

DZIS REMANENT!!!

W sprawie „im“ czyli „imienia“

Różne przedsiębiorstwa, firmy i zakłady mają w swych nazwach wspaniałe nazwiska. Jedne jakże słuszne, drugim brak żenady — i tym właśnie drugim przyjrzeć trza się z bliska.

Produkują liche spodki, a imienia są Nowotki.

Niesolidny gdzieś punkt szewski chce, by zdobył go Marchlewski!

„im. Fornalskiej“... czytaś zdał, a tam braków pełna hala! W Pegeerze żli hodowcy, patronują... Kościuszkowcy!

Zduny, których piece dymią, noszą kilka dumnych imion.

Pralnia, co ma źle prac zwyczaj, wzięła sobie Mickiewicza!

Zakład — ludzkie pośmiewisko — Słowackiego ma nazwisko.

Plan zachwiany na całego, ale imię — Waryńskiego...

Teatrom satyry nie powiemy: hola! Śladen z nich nie nosi imienia Gogola! Morat się wylania sam stąd bez wąpłenia: gdy już nosisz imię, bądź odnu imienia!

CZYTELNIK

— istota nieznana

(Dokończenie ze str. 4)

jest od Eliota, Merwina, Stevensa do narodowej formy, do całej klasyki polskiej, niż poprzez Francuzów. Ale to osobiste upodobanie. A upodobanie czytelnika? Powtarzam. Jest on istotą nieznaną. Wiem, że lubi w przedziale kolejowym zastanawiać się nad krzyżówkami. Gimnastyka pamięci, grzebanie w wiadomościach mieszczących się w bagażu wykształcenia

średniego nie tylko pozwala mu zabijać czas. Lecz oto pochyla się nad wierszem. Z całą gotowością, z balastem złej lektury i świeżością ozdrowieńca, z tak zwaną dobrą wolą. Pochyla się nad wierszem, nie nad rebusem, nie nad łamigłówką. Irytuje się, kiedy tekst jest trudny, ale wtedy zaczyna się szacunek. Podejrzewam, że chce jednak aby mu to coś przypominało. Wtedy dopiero tajona nieufność topnieje,

Tak nasz prekursorzy poeci minionych wieków udzielają nam sankcji na istnienie.

Mój czytelnik ma bardzo współczesne skłonności. Nie sądzę, aby żądał ode mnie, abym był prowincjonalny, ponieważ nie mieszkam w Paryżu, Moskwie, czy Londynie. Nie sądzę, aby oczekiwiał ode mnie autentycznego opisu ulicy, zabytkowego bajorka, abym skarcił obywatela moralnie obojętnego, a w zamian pochwalił obywatela ze zdrową liczną rodziną, z nałogowym wstrętem do wszystkich nałogów wysokowych, oprócz ciepłej lemoniady.

JERZY WALEŃCZYK

ANDRZEJ DOŁĘGA

DROGA NA SZAFOT

W ułudzie wiozącej na szafot jest nie tylko pechowy morderca; jest także moc problemu, które usadowił tu Louis Malle, reżyser tego niedzielnego filmu. Malle, jak wiadomo, był uprzednio asystentem Bressona, który — co także wiadomo — nakręcił głosną „Ucieczkę skazanych”. Może sąd, obok innych zagadnień warsztatu uznał, że w filmie „Winda na szafot” ów problem czterech ścian i zamkniętego w nich człowieka? Nie wiem. Ale wnętrze windy, ubrew obiecankom tytułu, nie jest

bynajmniej jedną scenarią tego filmu. Mamu tu i bura ogromnej firmy, parę kłajd, sporo Paruza, kawalek autostrady. Mamu też motel (czyli hotel dla samochodzistów) i zgodnie pomysłami akcje, składająca się w sumie na film bezspornie sensacyjny, mogący widzom zaudnąć bez podziatu i reszty.

Konstrukcja filmu jest bardzo ciekawa: widz nie śledzi mordercy, bo wie kto zabija. Ale widz śledzi perpetue bohaterów, do których — choćby nie chciał — musi czuć odrobinię sympatii. I gdyby wyszukać na naszej twórczości kompletny przykład, to sądzić, że morderca nr 1 zostaje by nieubłocznie uwięziony, a morderca nr 2 za sprawą Louisa Malle. Dokonał on przedzielną sztukę: film, nad którym, gdy uszyję ponosz zaskutną karę — zdaje się

być podziw szarym. Ale że finał ten oparty jest na intruzującym i nowatorskim pomysle filmowym, więc trudno nie przyjąć go za dobrą monetę. Jaki to pomysł — nie zdradzę! Nie można przecież podawać przysięganych wzdów należnej im porcji satysfakcji.

Tak czy owak jest „Winda na szafot” filmem niezwykłym, jednym z najlepszych obrazów bieżącego sezonu. Mimo pewnego „przegadania” — mimo nieznoszących „monologów wewnętrznych” i mimo przesadnego psychologizowania, nie wypływającego dodatnio na urość i czytelność akcji. Bez zarzutu rozegrana tu została strona aktorska i uroczo poproszono przeprowadzoną zostaje klasyczny i niezbyt ostatnio modny montaż akcji równoległej. W sumie, choć niezbadane są drogi, którymi chadza zainteresowanie naszej widowni — ten film na pewno spotka się z niebywałym powodzeniem. I słusznie...

2 konkursy



Z których znanych filmów pojęzione zostały reprodukcje wyżej fotofosy?



Rysunek jest nieodpłatnie filmowy, ale w teście redakcyjnej zaginął podpis (naprawdę). Kto z Czytelników przysłał tynny, najdłuższy? Czekamy do 15 lipca. Nagrody czekają także.



HERBARZ NA MIARĘ KINA

EDWARD ETLER

Pani gwiazdka ma 19 lat i ogromne oczy. Mówi nie ma — reprezentacyjnego zdjcia się nie zamieścił (Bochana, redakcję dlabi by wzięli, „znovu pochasz jej fotografię do numeru?”). Jest natomiast romowa w „Honoraacie”. Powiedz Basin, jak wyglądał ten jeden dzień z Tobą?

„Jeden dzień z Tobą”, to zgrabny pomysł „Ekranu”. Czyteńcy tygodnika przysłali kartki pocztowe z powyższymi zyczeniami, z kim to by sobie nachlebieli żyć? spedić dzień. Rzecz jasna — w grę wchodził jedynie aktorzy dostępni na krajowym rynku i sympatyczni. Potem kartki były losowane i szczęśliwiec dostawał gwiazdkę z rodzinnego nteba. Dostawał na cały boży dzieńek. Nie sam, nie. Z brodałym (nie wiem, nie wiem) fotoreporterem i chmara ciekawych dziennikarzy także.

Pani gwiazdka oczywiście wie, jak wyglądał ów jeden dzień z nią; ba — ma nawet zdjcia w koszyku. Opowiada chętnie, ale nie podkłada do druku, bo — „poczekaj trochę. Ekran by się wściekł, niech oni to podadzą pierwszy,

czyli o jednym dniu spędzonym z tobą,

gdy już wszystko wynisili i zorganizowali”. Racja, nie wolno komuś podkradać tematu, choćby z tym wynisieniem było trochę inaczej (czyli się gdzieś swego czasu, że w Paruza ktoś wylosował Fantana) i choćby nawet miało się na to ochotę. Rozważmy więc rzecz teoretycznie, bez podawania faktów.

Gwiazdka zostaje wylosowana i przypada w udziale panu X. Przypada mu na dzień cały, na kawiarnię, na tory z kretem i lody. Przypada mu na spacer po ulicy i parku, przypada mu na wycieczkę do atelier, przypada mu na „dzień dobry” i na „do zobaczenia”. Do gustu przypada mu także.

„Ale los uśmiecha się tylko ciut-ciuć, półgębkiem, i nie chce więcej. Szczegółowiec, który swą gwiazdkę wylosował — wylosował oficjalną radość, dzień najbardziej oficjalny i oficjalnie trzeźwoty rzesami. Wolalby — sądzić — dostać gwiazdkę po cichu, nawet nie do domu, ale przynajmniej bez fotoreportera, bez dziennikarzy i krzyku. Chocoby na dłużej krócej i choćby nie w Stoicy ale we Władysławowie. Był bez świadomości, że stał się aktorem grającym dla wieloletniej rzeszy Szanownych Czytelników „Ekranu”. Był tylko kłopotliwiek to zobaczył, bo w takich chwilkach konieczności potrzeba świadka. (Mówię w nawiasie — są gusta i gustiki. Ja np. — mając do wyboru — wolałbym powtórzyć samodzielny wjazd po Piotrkowskiej nowym modelem Volkswagena, którego liczne przyrządy pozwalały kpić z aktualnie obowiązujących zasad ulicznego ruchu.)

Pan X wygrał gwiazdkę i własnowolnie skazał się na utratę głowy, tudzież dwustu znaczków pocztowych, które w przyszłym roku naklei na kartki by wznowić swoje szanse. A może się srodeż zawiodł? Nie wiem. Rozpatrywanie tego problemu leży bowiem w gestii sympatycznego „Ekranu”.

Jak z powyższego wynika wszystko co ładne może mieć swój zewnętrzny triumf i własne wewnętrzne fiasko. Najładniejszy pomysł także.

Redakcja „Współczesności” rozslala ankietę, skierowaną do absolwentów wydziału realizatorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Ankietę pomyślano bardzo ciekawie, układając ją musiał ktoś, kto dobrze zna Szkołę i filmowe problemy. Rzecz jasna gwiazdka dołączając do ankiety, zjawisko zdaje się mieć miejsce bez większego precedensu w (grzechu) u nas) dziełach ankietologii. A więc cel był wyrażony — i jak się dowiedziałem od inicjatorów — dorozny. Dzieci wspomnianej ankiety każda późniejsza akcja publicystyczna mogłaby mieć cenne, służyłby podstawy... Gdyby nie ewentual-

o zewnętrznym triumfie i fiasku,



ność, o której nie pomyślano: drodzy Absolwenci — choć im się ankietka podobała — nadesłali w terminie załdowie kilka odpowiedzi. Można sąd wnosić, że już ich toczy bakcy lenistwa, lub owo charakterystyczne desinteresement. Owo charakterystyczne — rzecz jasna — dla filmowców, która przywykła przetrwać duchem skomplikowane sprawy tego świata.

Jak wiadomo — nie każdy filmowiec jest rycerzem: jedynie co trzydziestu... Przynależność, niepisana, niemówiona i nieoficjalna — uzyskuje się już w Szkole Filmowej. Zazwyczaj na drugim roku, gdy po pierwszym filmie społeczność studentów nieomylnie osądza kto co potrafi. I niezależnie od szkolnych ocen wpisywanych do indeksu — idzie w Polskę grane na rogu wolanie, że ten lub ów zasługuje na umieszczenie w herbarzu, a inny nie; (choćby miał same piątki nawet). Co tu ukrywać — odłagd pamiętam Szkołę Filmową — zawsze opierała ona sens swego istnienia i duży sens swojej działalności na garście rycerzy. Studentów może być stu dwudziestu, ale potrzeba

o Szkole Filmowej, rycerzach i ciurach

jest czwórka, piątka — aby im „zrobić opinie” — czterema, pięcioma filmami! Sytuacja jest nieunikniona — bez przyjęcia na studia stu dwudziestu ludzi — mowy być nie może o znalezieniu owej rycerskiej czwórki, wokół której, w zasadzie, wszystko się później kręci. Czwórka, piątka — narzuca własne kryteria i absorbuje bez reszty profesjonalistów. Trudno się temu dziwić, bo to jest prawidłowe i naturalne — jak świat światem a nauczanie rzemiosła artystycznego — modą.

Wynika niby z powyższej teorii, że w trosce o przyszłość rodzinnego kina trzeba by wydumać dla klanu rycerskiego inne możliwości bytu. Nie bliźnięszego: nie ma lepszych, nie ma bardziej ciepłananych warunków niż te, które daje Szkoła Filmowa! Pozwała nakreślać filmy. Lepszej szansy — nie można sobie wyobrazić. Inny jest za to rodzaj opieki, jaką bym ołoczył czterech, pięciu rycerzy znalazłszy się przez moment na miejscu p. Rektora, względnie pp. Dziekanów. Rycerzowi Polakowskiemu, Małewskiemu i innym — przede wszystkim podobieralnym niebezpiecznym rumaki — skuteru. Potem bym najął specjalnie wyszkolonych ludzi, którzy by każdego dnia szaręgo i każdego nocy ciemnej baczili plinie na czwórce, piątce — aby się jej nie zleło nie przytrafiło — przy wsiadaniu do tramwaju lub gdzie indziej. Bai strzegłbym owej piątki czy czwórki przed kontaktami towarzyskimi z ludźmi o guście złym, ale zaradliwym. A myśl, która by mną powodowała, najpewniej nie wymaga komentarza.

POST SCRIPTUM: Niektóre z powyższych uwag zanołowane zostały z okazji egzaminów wstępnych, odbywających się właśnie w pałacyku przy ul. Targowej.

Redakcja Zespół C. Gryduwicy, Wydawnictwo Prasowe „Prawa Łódzkie” C. Adria (redakcja) Łódź, Piotrkowska 64, tel. 34-11-11-11. Wymaga prenumeraty; nakładem „Prawa Łódzkiego”. Redakcja nie zamawia reklam; nie odpowiada za treść ogłoszeń. Wymaga prenumeraty; nakładem „Prawa Łódzkiego”. Druk — w „Prawa” — Łódź, Zielona 11, 2 103, VI 58. S 3